

SCIENCE FICTION

URSULA K.
LE GUIN



NOWA
ATLANTYDA



Ursula K. Le Guin

Nowa Atlantyda

Nowa Atlantyda

Wracając z Tygodnia na Łonie Przyrody siedziałam w autobusie obok dziwnego mężczyzny. Przez długi czas nie odzywaliśmy się do siebie; ja cerowałam pończochy, a on czytał. Kilka kilometrów przed Gresham autobus zepsuł się. Kłopoty z kotłem jak to się zwykle zdarza, kiedy kierowca robi wszystko, żeby wydusić z wozu ponad pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Był to Ponaddzwiękowy, Ponadwizyjny Dalekobieżny Węglowiec, wersji Deluxe z Domowymi Wygodami, to znaczy z toaletą i dość wygodnymi fotelami; w każdym razie wygodne były te, które nie wypadły jeszcze z szyn mocujących. Wszyscy siedzieliśmy w autobusie, bo padał deszcz. Zaczęliśmy rozmawiać, jak to na ogół bywa, kiedy maszyna psuje się i mamy nieplanowany postój. Mężczyzna uniósł broszurę, którą czytał, i poklepał ją. Wyglądał ascetycznie i po belfersku gestykułował rękoma.

- Ciekawe - zagadał. - Czytam właśnie, że z głębin morza wyłania się nowy kontynent. Błękitne pończochy były beznadziejne. Żeby cerować, trzeba jeszcze mieć coś oprócz dziur.

- Z jakiego morza?

- Jeszcze nie wiedzą. Większość specjalistów uważa, że z Atlantyku. Ale są oznaki, że to samo dzieje się na Oceanie Spokojnym.

- Czy nie za ciasno zrobi się na oceanach? - zapytałam nie do końca poważnie. Byłam trochę kąśliwa przez tę przerwę w podróży i pończochy; takie ciepłe, kiedyś mi dobrze służyły.

Znów klepnął dłonią broszurę i bez cienia uśmiechu potrząsnął głową.

- Nie - odparł. - Stare kontynenty giną pod wodą, żeby ustąpić miejsca nowym. Widać to gołym okiem.

Rzeczywiście. Wyspa Manhattan leży zalana czterema metrami wody przy odpływie, a na placu Ghirardelli mieszkają teraz ostrygi.

- Sądziłam, że woda podnosi się wskutek topnienia biegunów.

Znowu potrząsnął głową.

- Też. Z powodu efekty cieplarnianego Antarktyda może okazać się niezdatna do zamieszkania. Ale czynniki klimatyczne nie tłumaczą wynurzenia się nowych albo, kto wie, może i bardzo starych, kontynentów na Atlantyku i Pacyfiku. - Wyjaśniał mi ruch mas kontynentalnych, ale mnie tymczasem urzekł pomysł mieszkania na Antarktydzie i na chwilę oddałam się marzeniom. Wyobrażałam ją sobie jako białoniebieski, pusty cichy teren, a za

górami Erebus, gdzie nie wschodzi słońce, rozświetlony złotawą luną od pół nocy. Niewielu ludzi tam mieszkało; oni też byli cisi, ubrani w białe krawaty i fraki. Niektórzy z nich nosili oboje i altówki. Biały łódź długą ciszą zmierzał na południe, w kierunku bieguna.

I tak się składa, że akurat w przeciwną stronę niż rekreacyjny teren Górzystego Zakątka Przyrody. Zmęczyły mnie te wakacje. Nie miałam pretensji do współczesniczek, mieszkanek internatu, ale makaron na śniadanie i tyle organizowanych gier sportowych... Cieszyłam się na myśl o pieszej wycieczce do Narodowego Rezerwatu Leśnego, największego lasu, jaki ostał się na terenie Stanów, lecz drzewa wcale nie wyglądały tak jak na pocztówkach i w folderach Federalnego Biura Upiększania. Rosły rachityczne i wszystkie miały maleńkie plakietki informujące, jak związek je sadził. W gruncie rzeczy więcej tam było zielonych stołów śniadaniowych i cementowych przybytków „Dla Kobiet” i „Dla Mężczyzn” niż drzew. Las okalały druty pod napięciem, żeby powstrzymać od wejścia osoby nie upoważnione. Strażnik opowiadał o górskich sójkach, „zuchwałych małych złodziejach”, które, jak mówił: „zniecka nadlatują i wrywają turystom kanapki”. Nie widziałam jednak żadnych sójek. Może dlatego, że nasza wyprawa przypadła akurat na cotygodniową dobę Walki z Nadmiarem Kalorii! Dzień obowiązujący wszystkie kobiety, więc nie miałyśmy kanapek. Gdybym ujrzała jakąś górską sójkę, być może sama byłabym gotowa wyrwać jej kanapkę. Tak czy owak, miałam za sobą wyczerpujący tydzień i żałowałam, że nie zostałam w domu i nie ćwiczyłam, mimo że straciłabym tym samym całą tygodniówkę, ponieważ siedzenie w domu oraz ćwiczenie gry na altówce w rozumieniu Federalnego Związku Związków nie liczy się jako dopełnienie obowiązku rekreacji.

Kiedy wróciłam z wycieczki na Antarktykę, mężczyzna znów czytał. Zerknęłam na jego broszurę i to właśnie wydało mi się dziwne. Broszura nosiła tytuł: „Zwiększenie wydajności w państwowych szkołach dla księgowych” i jeden akapit tekstu, na który rzuciłam okiem, przekonał mnie, że nie było tam ani słowa o wynurzaniu się nowych kontynentów. Ani jednego nawet słowa.

Potem musieliśmy wysiąść i pójść na piechotę do Gresham, gdyż zdecydowano, że wszystkim nam najlepiej zrobi przesiadka na Szybką Linie Transportową Okręgu Wielkiego Portland. Ponieważ tyle zdarzało się awarii, autobusowe towarzystwo czarterowe nie miało już sprawnych autobusów, które mogłyby po nas podjechać. Szliśmy w deszczu i było dość nudno z wyjątkiem fragmentu trasy, kiedy mijaliśmy Komunę Zimnej Góry. Teren otoczony był murem, żeby nie płątał się tam nikt niepowołany, a duży neon nad wejściem informował, że to właśnie KOMUNA ZIMNEJ GÓRY. Widzieliśmy nawet ludzi w najprawdziwszych dżinsach i chustach ponczo, którzy przy autostradzie sprzedawali turystom paski z makramy,

odlewane w piasku świece i chleb sojowy. O czwartej czterdzieści wsiąłem w Gresham do Odrzutowego Pociągu Szybkiej Linii Transportowej Okręgu Wielkiego Portland, który jechał do Burnside i Wschodniej 230, a później przeszłam do 217-ej, skąd odjechałam autobusem do Skrótu Goldschmidta i przesiadłam się na autobus wahadłowy, który też miał kłopot z kotłem, zatem do śródmiejskiego węzła transportowego dotarłam dopiero dziesięć po ósmej. Autobusy odchodzą stamtąd co sześćdziesiąt minut o równych godzinach, zamówiłam więc sobie bezmięsnego hamburgera w Jadłodajni Pod Grubym Na Palec Stekiem w Langhorn, zapakowałam się do autobusu o dziewiątej i na dziesiątą dojechałam do domu. Kiedy weszłam do mieszkania, pstryknęłam przełącznik, żeby zapalić światło, ale nadal nie było prądu. W Zachodnim Portland mieliśmy już od trzech tygodni przerwę w dostawie energii. Po omacku szukałam świec w ciemnościach i minęła co najmniej minuta, nim zauważyłam, że ktoś leży na łóżku.

Wpadłam w panikę i znów spróbowałam zapalić światło.

W chudym, długim wzgórku domyśliłam się leżącego mężczyzny. Pomyślałam, że jakiś złodziej wdarł się do mnie pod moją nieobecność i umarł. Otworzyłam drzwi, żeby mogła szybko stamtąd uciec albo żeby przynajmniej ktoś usłyszał mój ewentualny krzyk. Potem udało mi się opanować na tyle, by przestać się choć na chwilę trząść i zapalić zapałkę. Podeszłam do łóżka.

Światło mu przeszkadzało. Odchrząknął chrapliwie i odwrócił głowę. Ujrzałam obcego człowieka, ale jego brwi były mi znajome, rozstaw zamkniętych powiek też...

Obudził się, kiedy tak stałam nad nim ze świeczką w ręku. Roześmiał się i rozespany mruknął:

- Ach, moje Psyche, z miejsca, które zwą świętą ziemią!

Żadne z nas nie rozczułało się nadmiernie nad spotkaniem. Owszem, okazało się niespodziewane, ale to że w końcu był ze mną, wydawało się bardziej naturalne niż to, że go wcześniej nie było. Poza tym za bardzo czuł zmęczenie, żeby mieć siły na okazywanie uczuć. Leżeliśmy razem w ciemności i on opowiadał, jak to go przed terminem wypuszczono z Obozu Rehabilitacyjnego ze względu na uszkodzenie kręgosłupa, jakiego doznał w wypadku w zwirowni i jak to ktoś na górze, w obawie, że jego stan zdrowia może się niebezpiecznie pogorszyć, postanowił go zwolnić. Gdyby umarł w Ośrodku, znów zrobiły się szum w prasie za granicą, a przecież i tak świat ciągle huczał od plotek o Obozach Rehabilitacyjnych i Federalnym Stowarzyszeniu Szpitali, w których na skutek rozmaitych chorób wciąż dochodziło do zgonów. A w końcu jest trochę naukowców za granicą, którzy słyszeli o Simonie, bo ktoś w Pekinie opublikował jego dowód słuszności Hipotezy Goldbacha. No

więc puścił go przed czasem z ośmioma dolarami w kieszenie czyli dokładnie z tym, co miał przy sobie, kiedy go aresztowali. I trudno mieć do nich o to pretensje. Z Coeur D'Alene w stanie Idaho wracał do domu na piechotę bądź stopem. W Walla Walla miał dwudniowy postój, kiedy wsadzili go do ciupy za jazdę autostopem. Opowiadając to wszystko niemal zasypiał co chwilę, aż wreszcie, gdy skończył opowieść, zasnął na dobre. Potrzebował kąpieli i zmiany ubrania, ale nie chciałem go budzić. Poza tym sama też padałam ze zmęczenia. Leżeliśmy zetknięci bokami; Simon trzymał głowę na moim ramieniu. Myślę, że nigdy dotąd nie byłam taka szczęśliwa. Nie. Ale czy to jest właśnie szczęście? To coś, co się szerzej rozlewa, co jest mroczniejsze i bardziej przypomina wiedzę, a może noc: to radość.

Od dawna spowijała nas ciemność. Od bardzo dawna. Wszyscy byliśmy niewidomi i czuliśmy zimno, wszechogarniające, nieruchome, ciężkie zimno. Nie mogliśmy nawet drgnąć. Trwaliśmy w bezruchu. Nie mówiliśmy. Mieliśmy zamknięte usta, ściśnięte zinnem i ciężarem. Mieliśmy zaciśnięte powieki. Unieruchomione członki. Unieruchomione mózgi. Od jak dawna? Czas nie istniał; jak długo trwa śmierć? I czy jest się martwym jedynie po życiu, czy przed życiem też? Naturalnie, że myśleliśmy, o ile w ogóle myśleliśmy, że jesteśmy martwi, ale nie pamiętaliśmy, czy żyliśmy wcześniej.

Nadeszła zmiana. Chyba najpierw zmieniała się siła nacisku, choć nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Powieki są bardzo czułe na dotyk. Musiały już być zmęczone tak długim zamknięciem. Nacisk na nie zmniejszył się cokolwiek i otworzyły się. Ale tego nie mogliśmy przecież widzieć. Zbyt było zimno, żebyśmy w ogóle mogli coś odczuwać. Niczego nie widzieliśmy. Otaczała nas czerń.

Ale wtedy - „wtedy”, bo wydarzenie to stworzyło czas, stworzyło przedtem i potem, blisko i daleko, teraz i wtedy. No więc „wtedy” ukazało się światło. Jedno światło. Jedno małe, dziwne światełko, które mijало nas wolno, nie wiadomo w jakiej odległości. Przesuwający się mały, zielonkawobiały, nieco rozmazany punkt jasności.

„Wtedy” musieliśmy mieć otwarte oczy, bo zobaczyliśmy tę jasność. Zobaczyliśmy moment. Moment jest punktem światła. W ciemności bądź w morzu światła, moment jest mały i porusza się, ale powoli. A „potem” znika.

Nie przyszło nam do głowy, że może być jeszcze następny. Nie mieliśmy powodu przypuszczać, że może istnieć coś więcej niż jedno. Już jedno było wystarczająco cudownym zdarzeniem: że w tej bezgranicznej ciemności, w ciężkim, gęstym, nieruchomym zinnem, w tej beczasowej, zawieszony w próżni, bezkresnej czerni pojawiło się raz malutkie, zamazane ruchome światełko! Wystarczy tylko raz stworzyć czas, myśleliśmy sobie.

Ale byliśmy w błędzie. Różnica między „raz” i „więcej niż raz” jest całą różnicą tego świata. W gruncie rzeczy ta właśnie różnica jest właśnie całym światem.

Światło wróciło.

To samo, czy może inne? Nie sposób powiedzieć.

Ale „tym razem” zaczęliśmy się nad nim zastanawiać: czy jest małe i blisko nas, o może duże i odległe? Znow nie znaleźliśmy odpowiedzi. Ale zauważyliśmy coś w sposobie poruszania się światła, jakiś ślad niepewności, jakąś ostrożność w ruchu, która nie pasowała do czegoś dużego i dalekiego. Na przykład do gwiazd. Zaczęliśmy przypominać sobie gwiazdy.

Gwiazdy się nie wahały.

Możliwe, że ich godny i pewny krok po niebie był jedynie złudzeniem wynikłym z odległości. Być może, tak naprawdę, mknęły w szaleńczym pędzie jako przeogromne, rozpalone cząstki pierwotnej bomby wyrzuconej w kosmiczną ciemność. Tyle że czas i odległość łagodzą każdą mękę. Jeżeli wszechświat, co prawdopodobne, powstał w wyniku destrukcji, gwiazdy, które oglądaliśmy, nie zdradzały nam tej tajemnicy. Pozostawały niewzruszenie spokojne.

Planety jednak... Zaczęliśmy przypominać sobie planety. One przechodziły bolesne zmiany: w wyglądzie i torze orbit. W pewnej porze roku Mars zmieniał kierunek i w morzu gwiazd zaczynał orbitować pod prąd. Wenus jaśniała bardziej lub mniej w zależności od tego, w jakiej akurata znajdowała się fazie: w nowiu, pełni, czy może w półkwadrze. Merkury, niczym drżąca kropla deszczu, trząsł się a nieboskłonie zabarwionym jutrzemką. Światło, które właśnie oglądaliśmy, miało podobną cechę: niespokojnie drgało. Widzieliśmy, bez wątplenia, jak zmieniło kierunek i pozęgłowało z powrotem. Stawało się coraz mniejsze i słabsze, mrugnęło - jakieś zaćmienie? - i z wolna zniknęło.

Z wolna, ale nie dość wolno jak na planetę.

I wtedy - to już trzecie „wtedy”! - pojawił się ten niewątpliwie, najprawdziwszy Cud Świata, Magiczny Numer, patrzcie, patrzcie, nie uwierzycie własnym oczom, mamó, zobacz, co ja umiem zrobić...

Siedem światel w szeregu. Zbliżają się całkiem szybko gwałtownymi susami od lewej do prawej. Z prawej do lewej, nieco wolniej, suną dwa przyćmione, zielonkawe światła. Dwa światła zatrzymują się, mrugają, robią w tył zwrot i czym prędzej zaczynają falować z lewej na prawą. Siedem światel nabiera prędkości i dogania je. Dwa światła na krótko jaśnieją desperacko, mrugają i... już ich nie ma.

Siódemka zawisa na chwilę w bezruchu, stopniowo zlewa się w pojedynczą smugę,

zawija w przeciwną stronę i po trochu znika w bezbrzeżnej ciemności.

Ale w mroku pojawiają się już inne światła, wiele innych świateł: lampy, kropki, szeregi, iskierki. Jedne na wyciągnięcie ręki, inne w oddali. Jak gwiazdy, chociaż gwiazdami nie są. Nie oglądamy przecież wielkiego Istnienia, jedynie małe życia.

Rankiem Simon opowiedział mi więcej o Obozie, ale dopiero wtedy, gdy sprawdził, czy w mieszkaniu nie ma podsłuchu. W pierwszej chwili myślałam, że poddano go działaniu modulacji zachowania i stąd ta paranoja. Nigdy wcześniej nas nie inwigilowano. A ja w końcu mieszkałam samotnie przez ponad półtora roku i na pewno nikt nie oczekiwał, że będę z sobą rozmawiać. Ale Simon stwierdził:

- Mogli się spodziewać, że przyjdę tutaj.

- Ale cię przecież wypuścili!

A on leżał na łóżku i głośno śmiał się ze mnie. No więc sprawdziłam wszystko, co tylko przyszło mi do głowy. Nie znalazłam żadnego mikrofonu pluskwy, ale stwierdziłam, że ktoś chyba grzebał w moich szufladach, gdy odbywałam ustawowy Tydzień Na Łonie Przyrody. Wszystkie zapiski Simona i tak daliśmy na przechowanie Maxowi, więc rewizja nie stanowiła zagrożenia. Zrobiłam herbatę na prymusie, umyłam i ogoliłam Simona w gorącej wodzie z czajnika - miał gęsty zarost, którego chciał się pozbyć z powodu wszy zawleczonej z Obozu - i właśnie wtedy znów mówił o Obozie. Tak naprawdę niewiele mi opowiedział, ale i to niewiele zupełnie wystarczyło.

Stracił na wadze jakieś dwadzieścia kilo. A ponieważ przed Obozem ważył raptem niecałe siedemdziesiąt, niedużo ciała mu zostało. Kolana i nadgarstki sterczały mu spod skóry niczym ostre skały. Miał opuchnięte, pokancerowane stopy zniszczone obozowym obuwem; nie odważył się w ciągu ostatnich trzech dni marszu choćby raz zdjąć bury po drodze, ponieważ bał się, że nie będzie ich mógł z powrotem włożyć. Kiedy musiał się ruszyć albo usiąść, żeby go umyła, zamknął oczy i spytał:

- Czy naprawdę tu jestem? Czy ja jestem tutaj?

- Tak - odpowiedziałam. - Jesteś tu. Ale nie rozumiem, jakim cudem w ogóle tu dotarłeś.

- Och, nie było tak źle, póki byłem w ruchu. Wystarczy tylko wiedzieć, dokąd się idzie, wystarczy mieć jakieś miejsce na ziemi. Wiesz, jest trochę takich ludzi w Obozie, którzy gdyby ich nagle wypuścić, nie mieliby dokąd pójść. Nie wiedzieliby, w którą iść stronę. Po prostu nie wolno stanąć w miejscu. To najważniejsze. Teraz tylko kręgosłup mi dokucza.

Kiedy musiał przejść do łazienki, poruszał się jak dziewięćdziesięcioletni starzec. Nie mógł wyprostować pleców, szedł zgarbiony w dziesięcioro, powłócząc nogami. Pomagałam mu nałożyć czyste ubranie. Gdy znów układał się na łóżku, wyrwał mu się z gardła krzyk bólu, przypominający darcie grubego papieru. Chodziłam po pokoju i układałam rzeczy. Prosił, żebym usiała koło niego. Zagroził, że utonie we łzach, jeżeli nie przestanę płakać.

- Zatopisz całą Północną Amerykę - żartował. Nie pamiętam już, co jeszcze powiedział, ale mnie w końcu rozśmieszył. Trudno jest zapamiętać to, co Simon mówi, tak samo jak trudno się z tego nie śmiać. Nie dlatego tak twierdzą, bo mnie zaślepia uczucie; Simon rozśmiesza wszystkich. Wątpię, żeby to robił celowo. Tu chyba idzie o to, że umysł matematyka pracuje odmiennie niż inne umysły. A kiedy ludzie się już śmieją, sprawiają mu przyjemność.

To dziwne, że myślałam i myślę o Simonie jako o „nim”, o człowieku, którego znałam od dziesięciu lat, jako o wciąż tym samym, podczas gdy „on” leżał tam, zmieniony nie do poznania i był kimś zupełnie innym. Wystarczyło na niego spojrzeć, a stało się jasne, dlaczego większość języków zna słowo: „dusza”. Śmierć jest wielostopniowa i żaden ze stopni nie jest nam oszczędzony. Coś jednak pozostaje i trzeba to jakoś nazwać.

Wreszcie powiedziałam to, czego nie byłam w stanie wymówić przez całe półtora roku:

- Bałam się, że zrobią ci pranie mózgu.

- Stosowanie modulacji zachowania jest drogim zabiegiem. Już sama farmakologia jest bardzo kosztowna. Oszczędzają to dla ważnych osobistości. Ale obawiam się, że mogli dojść do wniosku, iż w gruncie rzeczy też na to zasługuję. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy bez przerwy mnie przesłuchiwali. W związku z moimi „zagranicznymi kontaktami” - prychnął. - Przypuszczam, że chodziło o prace publikowane poza krajem. Muszę się mieć na baczności i uważać, żeby następnym razem znów trafić do Obozu, a nie do Szpitala Federalnego.

- Simon, czy oni są... okrutni, czy tylko surowi?

Przez chwilę milczał. Nie chciał odpowiedzieć. Wiedział, o co pytam. Wiedział, na jakiej cieniutkiej nitce zawisła nadzieja, na jakiej cienkiej nici wisiał miecz nad naszymi głowami.

- Niektórzy... - wydusił niewyraźnie.

Niektórzy byli okrutni. Niektórym praca sprawiała przyjemność. Nie można o wszystko obwiniać społeczeństwa.

- Więźniowie i strażnicy - dodał.

Nie można całej winy przypisywać wrogowi.

- Ale niektórzy, Belle - powiedział z ożywieniem i dotknął mojej ręki. - Niektórzy mieli wprost złote serca...

Nić jest jednak mocna, nie daje zerwać się za pierwszym cięciem.

- Co grasz? - zapytał.

- Forresta, Schuberta.

- W kwartecie?

- Teraz mamy trio. Janet wyjechała do Oakland z nowym kochankiem.

- O. Biedny Max.

- Może to nawet i lepiej. Nie jest najlepszą pianistką.

Ja też rozśmieszam Simona, choć wcale nie mam takiego zamiaru. Rozmawialiśmy tak długo, że wreszcie minęła pora, kiedy zazwyczaj wychodzą do pracy. Od czasu gdy w zeszłym roku wprowadziliśmy Ustawę o Pełnym Zatrudnieniu, moja zmiana trwa od dziesiątej do drugiej. Jestem inspektorką w fabryce papierowych toreb wykonywanych z surowców wtórnych. Jeszcze nigdy nie odrzuciłam żadnej torby; elektroniczny kontroler pierwszy wyłapuje wszelkie wady produktu. Smętne jest to moje zajęcie. Ale to tylko cztery godziny dziennie, no i więcej czasu trzeba by poświęcić, żeby przejść przez wszystkie komisje badające sprawność fizyczną i umysłową, żeby wypełnić wszystkie formularze i odbyć cotygodniowe rozmowy z urzędnikami i inspektorami opieki społecznej, żeby wreszcie dostać kategorię „Niezatrudniony”. A potem trzeba jeszcze codziennie odstawać w kolejce po kartki żywieniowe i zasiłek. Simon uważał, że powinnam pójść do pracy, jak zawsze. Próbowałam, ale nie mogłam. Był bardzo rozpalony, kiedy cmoknęłam go na pożegnanie. Wysłałam sprowadzić lewego lekarza. Dziewczyna z fabryki poleciła mi lekarkę, gdybym kiedykolwiek chciała załatwić sobie szybką aborcję bez regulaminowego okresu dwóch lat brania środków na stłumienie popędu, jakie lekarze federalni wmuszają w pacjentkę, której załatwią skrobankę. Lekarka pracowała jako asystentka jubilera przy Adler Street i wiedziałam, że jest wygodna, bo jeśli nie miało się dość gotówki, można jej było dać jakiegoś fanta, który wstawiała do sklepu i sprzedawała. Nikt nigdy nie ma dosyć gotówki, a na czarnym rynku karty kredytowe nie stoją zbyt wysoko.

Lekarka skłonna była przyjść od razu, więc pojechałyśmy autobusem. Bardzo szybko połapała się, że Simon i ja jesteśmy małżeństwem, i trochę mnie śmieszyła, gdy spoglądała na nas z kocim uśmiechem. Są ludzie, którzy uwielbiają niepraworządność dla niej samej. Częściej mężczyźni niż kobiety. Mężczyźni ustanawiają prawa, narzucają je, potem łamią i uważają, że to pyszna zabawa. Większość kobiet wolałaby prawo ignorować; ta jednak, na

podobieństwo mężczyzn, lubiła je łamać. Może właśnie dlatego uprawiała nielegalną działalność, może niezgoda z prawem stała w zgodzie z jej upodobaniami. Ale i to przecież nie tłumaczyło wszystkiego. Bez wątpienia musiała chcieć zostać lekarką, ale Federalne Stowarzyszenie Lekarzy nie przyjmuje kobiet na wydziały lekarskie. Najprawdopodobniej więc uczyła się zawodu jako prywatna studentka jakiegoś doktora, po kryjomu. Podobnie jak Simon uczył się kiedyś matematyki, bo przecież uniwersytety przyjmują tylko na dwa kierunki: Organizację, Zarządzanie i Reklamę oraz Propagandę Stosowaną. Niezależnie od tego, jak się tego uczyła, najwyraźniej знаła swój fach. Domowym sposobem bardzo zręcznie zmajstrowała Simonowi wyciąg i powiedziała mu, że jeśli w ciągu najbliższych dwóch miesięcy będzie dużo chodził, zostanie kaleką do końca życia, ale jeśli się będzie pilnował, sprawa zakończy się wyłącznie utykaniem. Człowiek na ogół ni słuca takich rzeczy z wdzięcznością, a przecież my oboje odetchnęliśmy z ulgą. Na odchodnym wręczyła mi buteleczkę bez nalepki z dwustoma zwykłymi, białymi pigułkami.

- Aspiryna - powtórzyła lekarka. - Cudowny składnik zalecany przez większość lekarzy. - Uśmiechnęła się kocim uśmiechem. Sądzę, że spodobaliśmy się jej, bo żyliśmy w grzechu. Ta buteleczka czarnorynkowej aspiryny z pewnością warta była więcej niż stara bransoletka Indian Navajo, którą ofiarowałam jej w charakterze zapłaty.

Znów wyszłam z domu, tym razem, żeby zameldować Simona na pobyt czasowy i złożyć podanie o przyznanie mu Tymczasowej Zapomogi dla Bezrobotnych w postaci kartek na jedzenie. Taką zapomogę przyznają tylko na dwa tygodnie i po obiór kartek trzeba się zgłaszać codziennie. Ale żeby zarejestrować Simona jako Okresowo Niepełnosprawnego, musiałabym zdobyć dwa podpisy federalnych lekarzy, postanowiłam więc tę sprawę jeszcze na jakiś czas odłożyć. I tak musiałam odstać w kolejce trzy godziny, by zdobyć właściwe formularze, które Simon miał wypełnić w domu, miałam też wytłumaczyć urzędnikom, dlaczego zainteresowany nie stawił się osobiście. Doszukiwali się jakiegoś szwindlu. Naturalnie w sytuacji, kiedy człowiek wmeldowuje się i wymeldowuje co chwilę, gdy przyjaciele użyczają mu swojego adresu, trudno jest biurokratom udowodnić, że jakaś para jest tak naprawdę małżeństwem, a nie żyje, jakby się mogło zdawać, przyzwoicie, to jest na kocią łapę. Ale w urzędzie zgromadzili na pewno mnóstwo danych na nasz temat, z których wynikało niezbicie, że oboje z Simonem już podejrzanie długo kręcimy się przy sobie. Państwo szalenie utrudnia sobie życie. W czasach, kiedy małżeństwo było legalne, a cudzołóstwo karalne, egzekwowanie prawa musiało być wiele prostsze. Wystarczyło raz kogoś złapać. Ale przypuszczam, że ludzie i tak łamali prawo równie często jak dzisiaj.

Latarniowce podeszły wreszcie na tyle blisko, że widzieliśmy już nie tylko samo światło, ale również ich ciała w blasku którym emanowały. Nie były ładne. Ciemne, na ogół ciemnoczerwone, składały się niemal wyłącznie z otworu gębowego. Zjadały się nawzajem w całości. Światło potykało światło, żeby wreszcie w większej porcji zniknąć w paszczy ciemności. Poruszały się wolno, bo nic, żeby nie wiem jak małe i głodne, nie mogło nabrać prędkości, przygniecione ciężarem mroku i sparaliżowane zimnem. Strach rozszerzał im oczy, których nawet na chwilę nie zamykały. W cieniu rozwartych szczęk widzieliśmy ciała drobne i kościste. Stworzenia te miały dziwaczne, brzydkie ozdoby na wargach i czaszkach: grzywki, piłkowane wąsy, piórkopodobne wypustki, bransoletkowe koła, koraliki, przywabiacze. Biedne małe obszarpane karły z garbem w szczękach, zduszone ciężarem mroku i przemarznięte do kości. Małe potworki rozpalone głodem, dzięki którym wróciliśmy do życia.

Od czasu do czasu w mdłym i nieczęstym rozświetleniu ciemności przez mgnienie oka zauważyliśmy zarys jakichś innych, dużych, nieruchomych kształtów. Czegoś bardzo odległego, ledwie istniejącego. Nie, nie ściany, niczego aż tak konkretnego i solidnego, raczej jakiejś powierzchni, załamania... Czy naprawdę tam było?

Albo coś nagle zalsniło niewyraźnie. Gdzieś w dali, bardzo nisko. Zastanawianie się, co to, nie miało sensu. Prawdopodobnie był to błysk osadu, błota czy miki, których spokój zakłóciła walka latarniowców, a które błyszczały niczym diamentowy pył, poderwany w górę i wolno opadający. Tak czy owak, nie mogliśmy podejść i sprawdzić, co to jest. Nie mieliśmy nawet tej zimnej, ograniczonej wolności latarniowców. Unieruchomieni, przykuci do swojego miejsca, stanowiliśmy nieporuszone cienie pośród na wpół odgadniętych ścian też z cienia. Byliśmy tam?

Latarniowce nie zauważyły naszej obecności. Przesuwały się tuż przed nami, między nami, może nawet przenikały nas. Nie mogliśmy tego wiedzieć. Nie budziliśmy w nich strachu ani ciekawości.

W pewnym momencie coś większego od ręki podpełzło do nas i przez krótką chwilę widzieliśmy wyrazisty kąt między podstawą ściany a brukowanym podłożem. Ujrzelśmy to w poświacie, jaką niosło z sobą pełzające stworzenie okryte pierzastym listowiem; każde piórko nakrapiane było mnóstwem maleńkich, niebieskawych świecących punkcików. Pod kropkowanym stworzeniem zobaczyliśmy chodnik, a obok niego ścianę; serce się ścisnęło na widok jej uporządkowanej, czystej liniowości, tego przeciwieństwa wszystkiego, co płynne, przypadkowe, olbrzymie i puste. Dostrzegliśmy, jak stworzenie wysuwa pazury, wysuwa i chowa je wolno niby małe sztywne palce, jak dotyka ściany. Patrzyliśmy, jak drżą na nim piórka światła, kiedy czołgało się wzdłuż muru, by wreszcie zniknąć za rogiem.

Wiedzieliśmy już, że jest jakaś ściana. Zewnętrzny mur albo frontowa ściana domu, a może bok jednej z wież miasta?

Przypomnieliśmy sobie wieże. Przypomnieliśmy sobie miasto. Zapomnieliśmy wcześniej. Zapomnieliśmy, kim jesteśmy, ale teraz już przypomnieliśmy sobie miasto.

Kiedy wróciłam do domu, FBI zdążyło już odwiedzić Simona. Komputer w obwodzie policyjnym, w którym go zarejestrowałam, musiał od razu przesłać informację do centrali FBI. Przez godzinę maglowali go głównie na temat tego, co robił w ciągu dwunastu dni podróży z Obozu do Portland. Przypuszczam, że podejrzewali go o lot do Pekinu albo coś w tym rodzaju. Fakt, że policja w Walla Walla wsadziła go za jazdę autostopem, bardzo mu pomógł uwiarygodnić relację. Simon powiedział mi, że jeden z tajniaków na chwilę wszedł do łazienki. No i oczywiście znalazłam tam pluskwę przyczepioną nad framugą drzwi. Nie ruszałam jej, bo doszliśmy do wniosku, że lepiej mieć podsłuch w wiadomym miejscu, niż go usunąć, a potem nigdy już nie mieć pewności, czy i gdzie założyli nowy. Jak stwierdził Simon, jeśli odczuwamy gwałtowną potrzebę wypowiedzenia jakiejś niepatriotycznej myśli, możemy zawsze w tej samej chwili spuścić wodę w sedesie.

Mam radio na baterie - tyle jest przymusowych przerw w pracy z powodu wyłączeń prądu i dni, kiedy trzeba gotować wodę, i tak dalej, że radio jest naprawdę konieczne, aby nie tracić czasu albo nie umrzeć na tyfus - które Simon włączył, kiedy przygotowywałam na prymusie kolację. O godzinie szóstej spiker Wszeciamerykańskiej Rozgłośni Radiowej oznajmił, że lada dzień zostanie zawarty pokój z Urugwajem, ponieważ zaobserwowano, iż zaufany doradca prezydenta uśmiechnął się do przechodzącej blondynki, kiedy w sześćset trzynastym dniu tajnych negocjacji wychodził z willi pod Katmandu. Wojna w Liberii przyjęła pomyślny obrót; nieprzyjaciel utrzymywał, że strącił siedemnaście amerykańskich samolotów, ale Pentagon twierdził, że to my zestrzeliliśmy dwadzieścia dwie nieprzyjacielskie maszyny, a stolica kraju - wciąż nie pamiętam tej nazwy, ale i tak od siedmiu lat nikt tam nie mieszka - lada chwila zostanie zdobyta przez oddziały wyzwolenicze. Policyjna akcja w Arizonie też zakończyła się sukcesem. Powstańcy z Ruchu imienia Johna Bircha w Phoenix nie zdołają już dłużej przeciwstawiać się zmasowanym atakom sił amerykańskiej piechoty i lotnictwa, gdyż Pogodziarze z Los Angeles przestali zaopatrywać ich w małe strategiczne pociski nuklearne. Później słuchaliśmy reklamy Federalnej Karty Kredytowej i ogłoszenia Sądu Najwyższego: „Zanieś swoje prawnicze kłopoty naszym Dziewięciu Mędrcom!”. Dalej tłumaczono nam, dlaczego taryfy celne znów poszły w górę, oraz przedstawiono relację z giełdy, która zamknęła się tuż powyżej dwudziesty tysięcy.

Potem znów chwila reklamy; tym razem propagowano produkt rządowy, puszkowaną wodę. Reklama kończyła się chwytliwą piosenczką: „Uważaj kiedy pijesz/ Ciesz się, że jeszcze żyjesz/ Bo tylko jedna jest zdrowa/ Nasza woda rządowa”. I trzy sopran harmonijnie wyciągały ostatnią linijkę. I właściwie kiedy baterie zaczęły się wyczerpywać, a głos spikera zmienił się w daleki szept, usłyszałam jakąś informację o wyłanianiu się nowego kontynentu.

- Co to było?

- Nie słyszałem - odpowiedział Simon, leżąc z zamkniętymi oczami. Twarz miał bladą i spoconą. Zanim usiedliśmy do kolacji, dałam mu dwie aspiryny. Jadł mało i zasnął, gdy zmywałam naczynia w łazience. Normalnie o tej porze ćwiczyłam grę, ale w jednopokojowym mieszkaniu altówka stawia śpiącego na równe nogi, więc jakiś czas czytałam. Był to bestseller, który na pożegnanie dostałam od Janet. Jej się bardzo podobał, ale też Janet lubi takiego Franza Liszta. Nie czytam zbyt wiele, od czasu kiedy zamknięto biblioteki i trudno jest odstać książki; jedyne, co można kupić, to bestsellery. Już nie pamiętam tytułu, ale z okładki krzychał napis: „Dziewięćdziesiąt milionów egzemplarzy!”. Rzecz była o jakimś małomiasteczkowym życiu seksualnym z ubiegłego wieku, gdy nie istniały żadne problemy, a życie było proste i rzewne! Autor wydusił z siebie wszelkie możliwe pikantności, jakie wynikały z faktu, że główni bohaterowie książki pozostawali w związkach małżeńskich. Zajrzałam na koniec powieści i dowiedziałam się, że wszystkie pary zastrzeliły się nawzajem po tym, jak ich schizofreniczne dzieci zeszyły na drogę prostytucji. Uchowała się tylko jedna dzielna para, która szczęśliwie wzięła rozwód i ochoczo wskoczyła do łóżka z dwójką urzędowych kochanków, by przez osiem stron uprawiać seks grupowy i ufnie spoglądać w lepsze jutro. Ja też poszłam do łóżka. Simon był rozpalony, ale spał spokojnie. Jego oddech przypominał szum dalekich, cichych fal, a ja unosząc się na nich płynęłam w ciemne morze.

Często jako dziecko, żeby się ukołysać do snu, wypływałam w myślach na morze. Na jawie prawie o tym zapomniałam. Gdy byłam małą dziewczynką, wystarczyło, że wyciągnęłam się na łóżku i pomyślałam: „Ciemne morze... ciemne morze...”, a zaraz potem czułam, że kołyszę się gdzieś w głębinie. Ale kiedy dorosłam, ta zdolność wracała do mnie jako niezwykle dar. Poznać otchłań i ciemności i nie bać się jej, zawierzyć jej i temu, co z niej gotowe wyniknąć - czy można dostać więcej?

Patrzyliśmy, jak maleńkie światełka obchodzą nas dokoła, i dzięki temu nabywaliśmy poczucia przestrzeni i kierunku: zaczynaliśmy rozumieć, co znaczy blisko i daleko, wyżej i niżej. Właśnie ta świadomość przestrzeni pozwoliła nam odczuć istnienie prądów. Przestrzeń

wokół nas nie była już całkiem nieruchoma, stłamszona straszliwym naciskiem własnego ciężaru. Bardzo mgliście pojawiała się jednak świadomość, że zimna ciemność rusza się, powoli, nieznacznie, to troszkę napierając na nas, to znów cofając się, naprzemiennie, w niespiesznym rytmie. Pusty mrok przepływał z wolna obok naszych zastygłych, nie widzianych ciał; płynął obok, mijał je, kto wie, może nawet przenikał? Tego nie wiedzieliśmy.

Skąd przychodziły te ledwie wyczuwalne, leniwe i szerokie fale przyboju? Jaki nacisk, jaka siła wprawiała mroczną głębię w dotyk fal ciemności. Lecz wyęzając rozum, by odgadnąć, skąd biorą początek i gdzie się kończą, nagle zdaliśmy sobie sprawę z pojawienia się jeszcze czegoś w tym mroku prądów: z pojawienia się dźwięków. Słuchaliśmy. Usłyszeliśmy.

A więc nasze poczucie istnienia przestrzenie wyostrzyło się i zawęziło do percepcji miejsca. Bo dźwięk jest zjawiskiem miejscowym, a obraz nie. Dźwięk wyznaczany jest przez ciszę i nie wyłoi się z niej, póki nie będzie blisko, zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Choćbyśmy stali na miejscu pieśniarza, nie usłyszymy śpiewu; lata uniosły już śpiew na falach i zatopily. Dźwięk jest zjawiskiem kruchym, drzeniem, tak delikatnym jak życie. Widzimy gwiazdy, ale ich przecież nie słyszymy. Nawet gdyby pustka głębokiego kosmosu okazała się atmosferą, eterem, który przenosi fale dźwiękowe, to nawet wtedy nie usłyszelibyśmy gwiazd; są za daleko. W najlepszym razie, gdybyśmy dobrze wyęzili słuch, usłyszelibyśmy zaledwie własne słońce: cały ten potężny galimatias, eksplodującą burzę spalania, odebraliśmy tylko jako szept na granicy słyszalności.

Morska fala omywa stopy: to wynik wstrząsu po erupcji wulkanu gdzieś a dalekim krańcu świata. Ale niczego nie słychać.

Czerwona łuna liże horyzont: to gdzieś daleko, w głębi lądu, w dymie odbija się pożar. Ale niczego nie słychać.

Dopiero na zboczu wulkanu i na przedmieściach miasta słychać głuchy pomruk wnętrza ziemi i piskliwe krzyki ludzi.

A zatem kiedy uświadomiliśmy sobie, że słyszymy, byliśmy pewni, iż znajdujemy się w miarę blisko dźwięków. A jednak mogliśmy się bardzo mylić. Tkwiliśmy przecież w dziwnym miejscu, w jakimś głębokim miejscu. W takich głębinach dźwięk płynie szybko i daleko, a cisza jest tak idealna, że najlżejszy szmer słychać na setki kilometrów.

Lecz to nie były lekkie szmery. Światelka były maleńkie, ale dźwięki szerokie; nie głośne, lecz potężne. Często poniżej granicy słyszalności; już nie tyle dźwięki, co długie, powolne wibracje.

Pierwsze, które usłyszeliśmy, wznosiły się przez prądy od spodu, niczym westchnienie

olbrzyma, które przenika dreszczem aż do kości: dudnienie, głęboki, nerwowy szept.

Później niektóre dźwięki spłynęły na nas z góry bądź snuły się równolegle do bezkresnych poziomów mroku, i te były jeszcze dziwniejsze, bo stanowiły muzykę. Wielką, nawołującą, tęskną muzykę płynącą gdzieś z dalekiego mroku, nawołującą, ale nie nas. Gdzie jesteście? Ja jestem tu.

Nie nas.

To były głosy wielkich dusz, wielkich żywotów, samotników, podróżników. Nawołujące. Często bez odpowiedzi.

Gdzie jesteście? Dokąd poszliście?

Lecz kości i szkielety białych kościanych statków na lodowatych wyspach Południa, brzegi usłane kośćmi, milczały.

My też nie mogliśmy odpowiedzieć. Ale słuchaliśmy i oczy zachodziły nam łzami, solą, nie taką jak sól oceanów, jak opasujące ziemię, głębokie, samotne prądy, opuszczone ścieżki wielkich żywotów; nie taką solą - cieplejszą.

Ja jestem tutaj. Dokąd poszliście?

Żadnej odpowiedzi.

Tylko szept grzmotu gdzieś z dołu.

Ale teraz, choć nie mogliśmy odpowiedzieć, wiedzieliśmy, bo słyszeliśmy, bo czuliśmy, bo płakaliśmy, wiedzieliśmy, że jesteśmy. I przypomnieliśmy sobie inne głosy.

Max przyszedł następnego wieczoru. Siadłam na zamkniętej klapie muszli sedesowej i przy zamkniętych drzwiach ćwiczyłam grę na altówce. Faceci z FBI na nasłuchu dostali najpierw solidną porcję gam palcówek, a potem zupełnie niezłą solową sonatę Hindemitha. Łazienka jest bardzo mała i tyle tam twardych powierzchni, że hałas, który czyniłam, naprawdę był imponujący. Dźwięk nie brzmiał dobrze, za bardzo dudnił echem, ale samo jego natężenie rozlewało się jak zaraza, więc grałam coraz głośniejsze i głośniejsze. Sąsiad z góry stuknął w podłogę; lecz skoro ja muszę w każdy niedzielny poranek wysłuchiwać przy pełnym ryku telewizora jego ulubionych cotygodniowych sprawozdań z Wszechamerykańskich Igrzysk Olimpijskich, to on musi pogodzić się z faktem, że od czasu od czasu wysłucha Paula Hindemitha.

Kiedy się już zmęczyłam, przykryłam pluskwę kulką z waty i na wpół ogłuszona wyszłam z łazienki. Simon i Max spalali się w namiętności. Płonącej i nie skonsumowanej. Simon gryzmolił i rozpisywał jakieś wzory, a Max, jak to on, pompował łokciami niczym bokser i recytował przez nos: „E - mis - ja e - lek - tro - nów...”. Miał zwężone oczy i jego

mózg najwyraźniej pracował ileś tam lat świetlnych szybciej niż język, bo ciągle zaczynał na nowo „E - mis - ja e - lek - tro - nów” i puszczał w ruch łokcie.

Intelektualiści przy pracy stanowią dziwny widok. Podobnie jak artyści. Nigdy nie mogłam zrozumieć, jak publiczność może usiąść na widowni i patrzeć na skrzypka, który wywraca oczami czy zagryza język. Albo na takiego trębacza, który zbiera ślinę, czy pianistę, który podskakuje na stołku niczym czarny kot przywiązany do ławki pod wysokim napięciem. Chodzili patrzeć, jakby to, co widzieli, miało cokolwiek wspólnego z muzyką.

Ugasiłam ogień kwartą czarnorynkowego piwa - to oficjalnie sprzedawane jest lepsze, ale nigdy nie mam dość kartek, by je kupić; nie jestem znów aż tak spragniona piwa, żeby sobie odmawiać jedzenia - i stopniowo Simon i Max uspokoili się. Max zostałby i całą noc przegadał, ale go odprawiłam, bo Simon źle wygląda.

Włożyłam nową baterię do radia, włączyłam je i zostawiłam w łazience. Zdmuchnęłam świecę i ułożyłam się obok Simona, żeby porozmawiać; był zbyt rozemocjonowany, by spać. Powiedział, że Max rozwiązał już kwestie, które ich nękały, nim Simon został wzięty od Obozu, a które znakomicie mieściły się w równaniach Simona i zgadzały z (jak to Simon nazywał) nagimi faktami, co oznaczało, że osiągnięto „bezpośrednią konwersję energii”. Dziesięć czy dwanaście osób pracowało nad tym zagadnieniem w różnym czasie od chwili, kiedy dwudziestodwuletni Simon opublikował założenia teoretyczne. Fizyczka Ann Jones jako pierwsza natychmiast zauważyła, że najprostszym praktycznym zastosowaniem teorii Simona byłoby urządzenie działające jak „kran słoneczny”, które służyłoby do zbierania i magazynowania energii słonecznej; tyle że tak „kran” byłby o wiele tańszy i dużo wydajniejszy niż obecne Państwowe Solgrzejniki na dachach domów niektórych bogaczy. Byłoby to dużo prostsze, gdyby nie jeden szkopał, o który wciąż się potykali. A teraz Maxowi udało się pokonać tę trudność!

Użyłam słów: „Simon opublikował teorię”, ale to niezupełnie tak. Naturalnie nigdy nie był w stanie opublikować żadnego ze swych artykułów, w końcu nie jest przecież pracownikiem federalnym i nie ma zgody rządu. Ale jego teorie weszły od obiegu - w języku naukowców i poetów zwanego Krążownikiem Sama - przepisywane ręcznie lub powielane. Jest taki stary kawał na ten temat, że FBI aresztuje każdego, kto ma czerwone palce, bo albo właśnie powieliła na hektografie jakiegoś „krążownika”, albo ma pęcherzycę.

Nieważne. Tamtej nocy Simona wprost rozsadała radość. Co prawda jego największym szczęściem jest czysta matematyka, ale od dziesięciu lat pracował razem z Clarą, Maxem i innymi nad sprawdzeniem swych teorii w praktyce i dobrze jest choć raz w życiu poznać smak zwycięstwa.

Prosiłam, żeby wyjaśnił mi, co ten słoneczny kran będzie znaczył dla mas, dla ludzi takich jak ja. Tłumaczył więc, że będziemy mogli magazynować energię słoneczną jako źródło mocy, używając w tym celu urządzenia o wiele prostszego niż zwykły akumulator. Siła pochłaniania energii tego urządzenia i zdolność jej magazynowania jest tak wielka, że wystarczy około dziesięciu minut ładowania, żeby zgromadzić energię potrzebną do ogrzania i oświetlenia bloku mieszkalnego takiego jak nasz i do zapewnienia nieprzerwanej pracy wind. Wszystko to funkcjonowałoby całą dobę bez zanieczyszczania środowiska cząsteczkowo, termicznie czy radioaktywnie.

- Nie ma groźby, że zużyjemy słońce? - zapytałam.

Potraktował mnie poważnie, chociaż pytanie było głupie. Ale znów nie tak dawno ludzie sądzili przecież, że nie istnieje niebezpieczeństwo zużycia Ziemi. Zapewnił mnie, że nie ma takiej obaw, ponieważ nie będziemy odsysać energii, tak jak to robiliśmy, wydobywając kopaliny, ścinając lasy i rozbijając atomy. Będziemy wykorzystywać tylko tę energię, która i tak do nas dociera, tak jak to zawsze robiły drzewa, trawy i krzewy.

- Można by ją nazywać Energią Kwiatów - mówił. Radość wyniosła go już na szczyt góry i tam, w słońcu, wywijął koziołki na nartach.

- Państwo ma nas w garści - ciągnął - bo państwowa korporacja zmonopolizowała źródła energii, a nie ma jej dosyć, by starczyło dla wszystkich. Teraz jednak wszyscy moglibyśmy na każdym dachu zbudować sobie po generatorze, co wystarczałoby, żeby oświetlić całe miasto!

Wyjrzałam za okno na ciemne domy i ulice.

- Moglibyśmy zupełnie zdecentralizować przemysł i rolnictwo! Technologia mogłaby wtedy służyć życiu, a nie kapitałowi. Każdy z nas mógłby żyć wedle własnej woli. Energia daje siłę!... Państwo jest machiną. Moglibyśmy zatem odłączyć tę maszynę od źródła zasilania! Władza demoralizuje, absolutna władza zaś demoralizuje absolutnie, ale tylko wtedy, gdy energia ma jakąś cenę. Kiedy grupy wpływów mogą zatrzymać ją dla siebie, gdy zniewalając fizycznie, mogą sprawować rząd dusz, gdy siła oznacza prawo. Ale jeżeli siła energii będzie dostępna dla każdego? Jeżeli każdy z nas będzie tak samo mocarny? Wtedy trzeba będzie znaleźć lepszy sposób udowodnienia swych racji.

- Tak właśnie myślał pan Nobel, kiedy wynalazł dynamit - odparłam. - Pokój na ziemi.

Zjechał szusem kilkaset metrów w dół słonecznego stoku i zatrzymał się obok mnie, wzbijając fontannę śnieżnego pyłu. Uśmiechał się.

- Będziemy tańczyć na ich pogrzebie - oświadczył. - Wypisywać palcem hasła na ścianach. Cicho! Popatrz, widzisz, jak słońce odbija się od Pentagonu? Nie ma już dachów,

promienie słońca zaglądną wreszcie w korytarze władzy... Korytarze kurczą się, więdną. Zielona trawa porasta dywany Gabinetu Ovalnego, gorąca linia zostaje wyłączona za zaległości w opłatach rachunków. Pierwszą rzeczą, jaką zrobimy, będzie elektryczne ogrodzenie wokół Białego Domu. To wewnętrzne zapobiega nie upoważnionym wejściom; nasze, zewnętrzne, będzie chroniło przed nie upoważnionym wyjściem...

Naturalnie, że był rozgoryczony. Niewielu ludzi wraca z więzienia w dobrym nastroju.

Ale to okrutne dotknąć tej ogromnej nadziei i wiedzieć, że nie ma żadnych szans. Bo przecież Simon wiedział. Wiedział, że nie odnalazł góry, że tylko tańczy na wietrze.

Małe światełka latarniowców gasły jedno za drugim, rozmywały się w ciemności. Odległe, samotne głosy umilkły. Zimne, puste prądy przelewały się niespiesznie, od czasu do czasu wstrząsane poruszeniem otchłani.

Znów zrobiło się ciemno i cicho.

Czarny mrok, głuchy, zimny.

A potem weszło słońce.

Świt nie wyglądał jak te, które zaczynaliśmy sobie przypominać. Nie widać było tej zmiany, tej różnorodności, subtelności w woni i dotyku powietrza; tego wyciszenia, kiedy sen już odszedł, a wszystko zbudziło się, wstrzymało oddech i czeka; tego wyglądu przedmiotów, szarego, niewyraźnego, nowego, jakby dopiero co powstałego - dalekich gór na tle wschodniego nieba, własnych rąk, trawy skąpanej w rosie i cieniu, fałdy na zastłonie w oknie - a później, zanim się w końcu nabierze pewności, że znów się widzi, że jasność wróciła, że wstaje dzień, słychać pierwsze, nagłe i słodkie zajknięcia się obudzonego ptaka. A potem jest wybuch chóru, kolejne głosy dołączają: „To moje gniazdo, moje drzewo, moje jajo, mój dzień, moje życie, jestem tu, jestem tu, hurra, hurra! Tu jestem!”. Nie, ten świt był całkiem inny. Niemy i błękitny.

Zaczynaliśmy sobie przypominać jutrzeńki, w czasie których nikt nie uświadamiał sobie istnienia światła, jedynie zauważał dotknięte nim przedmioty, rzeczy, świat. Wylaniały się, stawały się znów widzialne, jak gdyby widzialność stanowiła ich przyrodzoną cechę, a nie była darem wschodzącego słońca.

W tym świecie widzieliśmy tylko światło. A tak naprawdę nawet nie samo światło, a raczej kolor: błękitny.

Nie istniał żaden kierunek tego zjawiska. Nie robiło się jaśniej na wschodzie. Nie istniał ani wschód, ani zachód. Była tylko góra i dół, wyżej i niżej. Niżej panowały ciemności. Błękitne światło spływało z góry. Jasność opadała na nas. Pod nami, tam gdzie umilkły

drżące grzmoty, jasność umierała, przechodząc najpierw w ciemny fiolet, potem w mrok.

Ożywając, patrzyliśmy jak ginie światło.

W pewnym sensie przypominało to bardziej padający niebiański śnieg niżli wschód słońca. Światło spływało w drobnych cząsteczkach, nieskończenie maleńkich płateczkach; opadało wolniutko, delikatne, węższe niż najdrobniejsze śnieżynki w ciemną noc i mniejsze. Za to błękitne. Subtelnie, al. Przenikliwie błękitne, wpadające w odcień przyłasczkowy, barwę cienia w lodowcu, kolor pasma zimowego popołudniowego nieba widocznego między szarymi chmurami na chwilę przedtem, zanim spadnie śnieg; barwa o słabej intensywności, ale wyraźna w odcieniu, kolor dalekiej przestrzeni, kolor zimna, kolor tego, co najdalej od słońca.

W sobotę wieczorem w naszym pokoju odbyła się konferencja naukowa. Przyszli naturalnie Klara i Max, inżynier Phil Drum i jeszcze troje ludzi, którzy pracowali nad „słonecznym kranem”. Phil Drum był z siebie bardzo dumny, bo udało mu się skonstruować jeden z elementów „kurka”, ogniwo słoneczne, które przyniósł z sobą. Nie sądzę, żeby Maxowi czy Simonowi w ogóle przyszło do głowy, że można by to po prostu zbudować. Z chwilą, kiedy wiedzieli już, że rzecz jest osiągalna, odczuwali pełną satysfakcję i gotowi byli brać się już za coś nowego. Ale Phil z największą czułością rozpakował swoje dzieło, a wszyscy występowali z uwagami w rodzaju: „Panie Watson, niech pan pozwoli na chwilkę” i „Hej, Wilbur, ale odlot!” czy „Słowo daję, a co to za paskudztwo tu przyniosłeś, Alec! Wyrzuciłbyś to lepiej.” oraz „O! O! Pali, pali! Uff! Uff!”. Tę ostatnią rzucił Max, który rzeczywiście wyglądał nieco jak Neandertalczyk. Phil oznajmił, że o czwartej po południu wystawił ogniwo na jedną minutę w Washington Park w czasie lekkiego deszczu. Elektryczność włączono w Zachodnim Portland już w czwartek, mogliśmy więc wyprodukować baterię bez zwracania na siebie uwagi.

Kiedy Phil podłączył kabel lampy do swojego ogniwa, zgasiliśmy światło. Pstryknął przełącznikiem. Żarówka rozżarzyła się niemal dwukrotnie jaśniej iż przedtem, do całych czterdziestu wat - zasilanie miejskie nigdy, rzecz jasna, nie osiągało pełnej mocy. Wszyscy patrzyliśmy jak sroka w gnat. Na blacie stała zwykła, tania lampa stołowa z metalizowaną złotą podstawką i białym plastikowym abażurem.

- Jaśniejsza niż tysiąc słońc... - mruknął Simon z łóżka.
- Czy to możliwe, że my, fizycy, poznaliśmy grzech i przekroczyliśmy granicę?
- Naprawdę nie da się z tego zrobić żadnych bomb - westchnął Max, rozmarzony.
- Bomb! - obruszył się Phil. - Bomby są dawno przestarzałe! Nie rozumiecie, że

dysponując taką mocą moglibyśmy nawet przesunąć góry? Na przykład unieść Mount Hood, przesunąć trochę i opuścić. Moglibyśmy roztopić Antarktydę, zamrozić Kongo. Moglibyśmy zatopić cały kontynent. Dajcie mi punkt podparcie, a uniosę ziemię! No więc, Archimedesie, masz punkt podparcie! Masz słońce!

- O, Boże, Belle! - zawołał Simon. - Radio!

Drzwi do łazienki były zamknięte, a ja nakryłam pluskwę watą, ale Simon miał rację. Jeśli mieliśmy się dalej tak ekscytować, lepiej było to czymś zrównoważyć. I chociaż z przyjemnością przyglądałam się ich twarzom w jasnym świetle lampy - wszyscy mieli dobre, ciekawe twarze, interesująco zniszczone, jak wytarte ręczki drewnianych narzędzi albo skały wymyte wodą strumienia - tamtej nocy nie bardzo chciałam ich słuchać. Nie dlatego, że nie zgadzałam się z nimi czy nie pochwalałam tego, o czym rozmawiali. Nie chciałam ich słuchać, bo mnie zasmucali, straszliwie zasmucali. Nie mogli przecież głośno cieszyć się ani swoją pracą, ani swoim odkryciem, tylko musieli szeptać i kryć się po kątach. Nie mogli stanąć radośni w pełnym słońcu.

Wzięłam altówkę i poszłam od łazienki, usiadłam na zamkniętym sedesie i zaczęłam długie ćwiczenia sautille. Potem usiłowałam zagrać trio Forresta, ale zabrzmiało jakoś nazbyt spokojnie. Zagrałam partię solową z „Harolda we Włoszech”, która jest niekłamane pięknym utworem, ale tamtego wieczoru i ona nie brzmiała właściwie. W pokoju obok wciąż wrzała gorąca dyskusja. Zaczęłam improwizować.

Po kilku minutach w tonacji minorowej światło nad lustrem do golenia zaczęło mrugać i ciemnieć, aż wreszcie zgasło. Mieliśmy kolejne wyłączenie. Lampa na stole w pokoju wciąż się świeciła; przecież czerpała energię ze słońca, a nie z dwudziestu trzech elektrowni atomowych, które zasilają Obszar Wielkiego Portland. W ciągu dwóch sekund ktoś ją zgasi, żeby nie okazało się, że jesteśmy w mieszkaniu z jedynym oświetlonym oknem w całej dzielnicy West Hills. Słyszałam, jak grzechoczą zapalki i grzebią to tu, to tam, szukając świec. Dalej improwizowałam po ciemku. W mroku, kiedy zniknęły wszystkie twarde i lśniące powierzchnie, dźwięk zdawał się bardziej miękki, mniej zmacony. Grałam dalej i nagle to moje granie zaczęło mieć ręce i nogi! Gdy opuszczałam smyczek, wszystkie prawidła harmoniczności śpiewały zgodnym chórem. Struny altówki były moimi własnymi - ściągniętym smutkiem, nastrojonymi radością. Muzyka powstawała sama, zrodzona z powietrza i energii, wychodziła z dolin, spływała z wyżyn, których sięgała. Góry i pagórki zdawały się małe, załamki proste, ostre powierzchnie gładkie; melodia wyrwała się na otwarte morze i śpiewała nad ciemną otchłanią.

Kiedy wyszłam z łazienki, wszyscy nadal siedzieli i nikt nie rozmawiał. Max musiał

chyba płakać. Widziałam maleńkie płomyki świec we łzach wokół jego oczu. Simon leżał płasko na łóżku, schowany w cieniu, z zamkniętymi oczami. Phil Drum, mocno zgarbiony, ścisnął w dłoni ogniwo słoneczne.

Odkręciłam kołki, schowałam altówkę i smyczek do futerału i odchrząknęłam. Czuję się zakłopotana.

- Przepraszam - bąknęłam wreszcie.

Odezwała się jedna z kobiet: Rose Abramski, prywatna studentka Simona, duża, nieśmiała kobieta, która prawie nigdy nie odzywała się inaczej niż matematycznymi wzorami:

- Widziałam! Widziałam! - wyrzuciła z siebie. - Widziałam białe wieże i spływającą po nich wodę, która wpadała do morza. Widziałam słońce lśniące na ulicach po dziesięciu tysiącach lat ciemności!

- Słyszałem ich - powiedział Simon dochodzącym gdzieś z cienia basem. - Słyszałem ich głosy.

- O, Chryste! Przestańcie! - krzyknął Max. Wstał i bez płaszcza wybiegł na ciemną klatkę schodową. Słyszeliśmy, jak zbiegał po schodach.

- Phil - zaczął Simon, nie wstając z łóżka - czy moglibyśmy unieść te białe wieże za pomocą naszej dźwigni i naszego punktu podparcia?

Po długiej ciszy Phil Drum odparł:

- Mamy moc, żeby tego dokonać.

- Więc czego nam jeszcze potrzeba? - pytał Simon. - Czego nam jeszcze potrzeba prócz mocy?

Nikt mu nie odpowiedział.

Błękit odmienił się. Stawał się jaśniejszy, pogodniejszy, a równocześnie gęstniał, nie był już taki czysty. Eteryczna świetlistość przyłuszczkowego błękitu przeobraziła się w turkus, intensywny i mętny. Ale i tak nie mogliśmy powiedzieć, że wszystko zdawało się teraz turkusowe, bo cały czas nie był żadnych rzeczy. Niczego nie było, tylko ten turkusowy kolor.

Ciągle następowały zmiany. Nieprzejrzystość turkusu pękła małymi żyłkami i najwyraźniej ścieniała. Gęsta, wyraźna barwa zaczęła nabierać przejrzystości, przezroczystości. Wreszcie wydało nam się, że tkwimy w sercu ogromnego nefrytu, czy może szmaragdu.

Podobnie jak w wewnętrznej strukturze kryształu nie było tam wcale ruchu. Ale nareszcie mieliśmy na co patrzeć. Zupełnie jakbyśmy oglądali od środka nieruchomą, elegancką sieć molekuł cennego klejnotu. Widzieliśmy płaszczyzny i kąty załamania,

pozbawione cienia, nieskazitelnie czyste w równej lunie błękitnozielonego światła.

To były mury i wieże miasta, ulice, okna, bramy.

Znaliśmy je, ale nie mogliśmy ich rozpoznać. Nie ważyliśmy się rozpoznawać. Tyle czasu minęło. Wszystko stało się takie obce. Kiedyś, kiedy mieszkaliśmy w tym mieście, mieliśmy jakieś sny. Kładliśmy się nocą w pokojach za oknami, spaliliśmy i śniliśmy. Wszystkim nam śnił się ocean, głębokie morze. A czy to teraz, to czasem nie był sen?

Co pewien czas przetaczał się pod nami grzmot wraz z drzeniem, ale szalenie słabiutki, odległy. Tak odległy jak nasze wspomnienia grzmotu, drżenia, ognia i walących się wież bardzo dawno temu. Ani ten dźwięk, ani wspomnienie nas nie przeraziło. Znaliśmy je.

Szafirowe światło rozjaśniło się nad nami i nabrało koloru zieleni, niemal złocistej zieleni. Spojrzeliśmy w górę. Trudno było dojrzeć skrzące się w blasku wierzchołki najwyższych wież. Ulice i drzwi domów jawiły się ciemniejsze, wyrazistsze.

W jednej z takich długich uliczek wyciętych w ciemnym klejnocie coś drgnęło, coś co nie składało się z płaszczyzn i kątów, ale z krzywizn i luków. Wszyscy odwróciliśmy się powoli, żeby na to spojrzeć i zdumiliśmy się swobodą ruchu, naszą wolnością. Faliste, o pięknych płynnych, wzbierających i przelewających się ruchach, raz szybkich, to znów czujnych, to coś przepłynęło przez ulicę, od gładkiej ściany ogrodu do wnęki drzwi. Tam ukryło się w ciemnoniebieskim cieniu i przez chwilę nie mogliśmy go dojrzeć. Patrzyliśmy. Nad górną częścią framugi drzwi pokazała się bladoniebieska krzywizna. Druga. I trzecia. Ruszające się coś zatrzymało się ucepione szczytu drzwi, a może zawieszono nad nimi niczym rozkołysany węzeł srebrzystych sznurów albo bezkostna ręka z jednym palcem wygiętym, który niedbale wskazywał coś nad framugą, coś co wyglądało jak ono samo, tyle że trwało nieruchome, rzeźbione. Rzeźba w nefrytowym brzasku. Rzeźba w kamieniu.

Delikatnie, swobodnie, długa, kręta macka badała załamki wyrzeźbionej figury, osiem płatkowatych odnóży i okrągłe oczy. Czy niewiadomoco rozpoznawało siebie?

Żywe stworzenie zachybotało nagle, zebrało falujące macki w luźny węzeł i puściło się ślizgiem ulicą; szybkie, pełne miękkich krzywizn, zostawiając za sobą lekki obłok ciemniejszego błękitu, który wisiał tak może z minutę, a potem rozmył się, znów odsłaniając rzeźbę nad drzwiami. Morski kwiat, mątwą, szybka, wielooka, pełna wdzięku, umykająca i czczona, której obraz wyryto na tysiącach murów, wpleciono w dekorację gzymsów, chodników, klamek, pokrywek na pudelka z biżuterią, baldachimów nad łózkami, gobelinów, blatów stołów i bram.

W innej uliczce, mniej więcej na poziomie okien parteru, pojawił się kłęb setek srebrnych nici. Jednym ruchem wszystkie skierowały się do skrzyżowania i błyskając

srebrzyście odpłynęły w ciemnoniebieskie cienie.

Teraz widzieliśmy już cienie.

Oderwaliśmy wzrok od lawicy srebrnych ryb, od ulic, gdzie przelewały się nefrytowe prądy i gdzie opadł błękitny cień. Poruszyliśmy się i z tęsknotą spojrzeliśmy w górę na wysokie wieże naszego miasta. Stały tam, nasze upadłe wieże. Wysoko, wysoko, w coraz ostrzejszym świetle jaśniały luną nie błękitną ani błękitnozieloną, ale złocistą. A jeszcze wyżej nad nimi zawisła przeogromna kopuła migotliwej jasności: promienie słońca tańczące na powierzchni morza.

Jesteśmy tu. Gdy przebijemy się przez krąg jasności i wrócimy do życia, woda rozstąpi się i białym warkoczem spłynie po białych murach wież, by wartko toczyć się stromymi uliczkami i wpaść z powrotem do morze. Będzie lśnić w ciemnych włosach i na powiekach ciemnych oczu, aż wreszcie wyschnie i zostawi cieniutką warstwę soli.

Jesteśmy tutaj.

Czyj to głos? Kto nas wołał?

Byliśmy razem przez dwanaście dni. Dwudziestego ósmego stycznia przyszli urzędnicy z Biura Zdrowia, Edukacji i Opieki Społecznej. Stwierdzili, że skoro Simon pobiera Zasiłek dla Bezrobotnych z powodu nie leczonej choroby, rząd musi zadbać o niego i przywrócić go do sił, ponieważ w państwie demokracji zdrowie jest niezbywalnym prawem każdego obywatela. Simon odmówił podpisania zgody na leczenie, więc wyręczył go w tym główny inspektor do spraw zdrowia i opieki; odmówił wstania z łóżka, zatem dwaj policjanci ściągnęli go siłą. Usiłował się im przeciwstawić. Główny inspektor wyciągnął broń i zapowiedział, że jeśli Simon nadal będzie stawiał opór, zastrzeli go za odmowę podporządkowania się państwowej opiece społecznej, mnie zaś zaaresztuje pod zarzutem spisku w celu oszukania państwa. Mężczyzna, który wykręcał mi do tyłu ramiona, dodał, że zawsze mogą oskarżyć mnie o nie zgłoszoną ciążę, którą ukryłam, żeby cichaczem stworzyć komórkę rodzinną. Wtedy Simon przestał się wrywać. Bo to było właściwie wszystko, co usiłował robić: nie bił się z nimi, chciał tylko uwolnić ramiona. Spojrzał na mnie, a potem go wyprowadzili.

Jest w Szpitalu Federalnym w Salem. Nie zdołałam się dowiedzieć, czy trzymają go na zwykłym oddziale czy na psychiatrycznym. Wczoraj w radiu znowu podawali, że na Południowym Atlantyku oraz Zachodnim Pacyfiku powstaje jakiś ląd. Któregoś wieczoru u Maxa widziałam specjalny program w telewizji poświęcony ruchom geograficznym, opadaniu masywów lądowych i tworzeniu się uskoków. Amerykańska Służba Geodezyjna oplakatowała całe miasto; najpopularniejsze jest hasło z wielkiego afisza: „To nie nasz U.S.

skok!”, przy którym widnieje podobizna bobra wskazującego schematyczną mapę, gdzie jasno i wyraźnie każdy sam zobaczy, że nawet jeśli duże trzęsienie ziemi nawiedzi Oregon, a potem okoliczny teren zapadnie się, tak jak miesiąc temu zapadła się Kalifornia, to zdarzenie i tak nie wpłynie na sytuację w Portland, może z wyjątkiem zachodnich przedmieść. W dzienniku mówiono również, że rząd zamierza powstrzymać fale przyboju na Florydzie, zrzucając bomby nuklearne w miejscu, gdzie dawniej było Miami. Później ma się na powrót przyłączyć Florydę do lądu stałego, za pomocą grobli. Już zaczęła się kampania reklamowa zachęcająca do kupna działek budowlanych pod przyszłe osiedla na planowanym wale. Prezydent mieszka w Tysiącmetrowym Białym Domu w Aspen, w Colorado. Nie sądzę, żeby miało mu to wiele pomóc. W Wiliamette pływające domy dochodzą już do pięciuset tysięcy dolarów. Na południe od Portland nie kursują już żadne pociągi ani autobusy, bo wszystkie autostrady zostały poważnie uszkodzone przez zeszlotygodniowe wstrząsy i obsunięcia gruntu. Będę zatem musiała samo sprawdzić, czy zdołam się przebić do Salem na piechotę. Mam jeszcze ten plecak, który kupiłam w czasie Tygodnia na Łonie Przyrody pod Mount Hood. Nabyłam trochę suszonej fasoli i rodzyneków za zielone kupony Federalnego Super Sprawiedliwego Super Przydziału, co jest moją całą minimalną racją żywnościową w lutym. Phil Drum zrobił mi malutką kuchenkę turystyczną zasilaną baterią słoneczną. Nie chciałem brać prymusa, jest zbyt wielki, a przecież muszę wziąć z sobą altówkę. Max ofiarował mi pół butelki brandy. Kiedy już wszystko wypiję, przypuszczam, że wetknę ten notatnik do butelki, dokręcę nakrętką i zostawię butelkę gdzieś na zboczach między Portland a Salem. Sprawia mi przyjemność myśl o tym, że kiedyś fala zabierze ja daleko w ciemne morze.

Gdzie jesteście?

My jesteśmy tutaj. Dokąd poszliście?

Zewsząd bardzo daleko

Jeżeli ktoś liczy na opowieść o tym, jak zostałem gwiazdą koszykówki i zyskałem sławę, majątek i miłość, to w ogóle niech nie zabiera się do czytania. Nie wiem, co zyskałem w ciągu tych sześciu miesięcy, o których mam zamiar opowiedzieć. Coś zyskałem z całą pewnością, ale ustalenie, co mianowicie, zajmie mi chyba resztę życia.

Nigdy w niczym nie byłem gwiazdą. Jako szczeniak uwielbiałem piłkę nożną, strategię tej gry, i zupełnie nieźle opanowałem taktykę kiwania przeciwnika, ale ponieważ byłem nie wyrosnięty jak na swój wiek, byłem nie dość szybki. A później w szkole średniej wszystko zrobiło się takie zorganizowane. Dobijanie się, żeby wejść do reprezentacji, jednakowe dresy i w ogóle cały ten cyrk. A ponadto nawija się o tym na okrągło. Sport jest dobry do uprawiania, a nudny do gadania. W każdym razie nie będzie tu wiele o sporcie.

Mówię do magnetofonu, a potem spisuję z taśmy. Najpierw próbowałem pisać od razu, ale wychodził mi drętwy gniot, więc spróbuję tego sposobu. Nazywam się Owen Thomas Griffiths. Skończyłem siedemnaście lat w listopadzie. Ciągle jestem niski jak na swój wiek - 174 centymetry. Podejrzewam, że jak skończę czterdzieści pięć, będę również niski jak na swój wiek, al. Eto nieważne. Bardzo się tym gryzłem, gdy miałem dwanaście, trzynaście lat, ale wtedy byłem znacznie niższy od wszystkich rówieśników, prawdziwy konus. W piętnastym roku życia urosłem piętnaście centymetrów przez osiem miesięcy i w trakcie tego czułem się naprawdę fatalnie. W kolanach rwało mnie jak na chińskich torturach, ale kiedy wreszcie stanąłem, byłem takim wielkoludem w porównaniu z moją poprzednią posturą, że nigdy właściwie nie żałowałem, że więcej nie urosnę. Jestem średnio silnie zbudowany, mam szarobure oczy i masę włosów. Włosy mi się kręca i niezależnie od tego, czy są krótkie, czy długie, zawsze sterczą na wszystkie strony. Walczę z nimi za pomocą szczotki, ale to nic nie daje. Lubię swoje włosy. Mają tyle silnej woli. Nie będzie to jednak również historia o moich włosach.

Zawsze jestem najmłodszy w klasie. I najmłodszy w rodzinie, jako jedynak. Do szkoły posłano mnie wcześniej, ponieważ byłem małym bystrzakiem. Zawsze byłem rozgarnięty jak na swój wiek. Kto wie, może w czterdziestym piątym roku życia też będę rozgarnięty jak na te lata. Historia, którą opowiem, częściowo się z tym wiąże. Z tym, jak byłem bystrzakiem.

Zwykle, jak wiadomo, wszystko jest OK. gdzieś do szóstej klasy. Nikt się tobą specjalnie nie przejmuje a najmniej ze wszystkich ty sam. Nauczyciele są na ogół dla ciebie bardzo mili, bo nie mają kłopotu z uczeniem cię. Niektórzy z tego powodu wprost przepadają za tobą i dają ci fajne książki do czytania. Innych denerwujesz, ale są tak zaabsorbowani osobnikami stwarzającymi Problemy Wychowawcze, że nie starcza im czasu, aby ci uzmysłwić, jak jesteś obrzydliwy ze swoim wyprzedzaniem klasy w matematyce i czytaniu. No i zawsze znajdzie się jeszcze kilkoro innych, zwykle dziewczyn, którzy są również rozgarnięci jak ty, albo i bardziej, więc piszesz do spółki z nimi dowcipne wierszyki, robisz listę dla nauczycieli i tak dalej. A tak na marginesie, jeżeli chodzi o całą tę gadaninę na temat okrucieństwa dzieci, to nie ma co nawet go porównywać z okrucieństwem dorosłych. Małe

dzieci są po prostu durne, zarówno te rozgarnięte, jak i te mniej rozgarnięte. Postępują głupio. Mówią to, co myślą. Nie nauczyły się jeszcze mówić inaczej, niż myślą naprawdę. To przychodzi później, kiedy dzieci zaczynają się przeobrażać w dorosłych i odkrywają, że są same.

Myślę, że gdy człowiek uświadomi sobie, że jest sam, wpada z reguły w panikę. I przerzuca się wtedy w drugą skrajność - wciska się we wszystkie możliwe kluby, drużyny, towarzystwa, zrzeszenia. Ni z tego, ni z owego zaczyna ubierać się dokładnie tak jak inni. Żeby być niezauważalnym. Sposób naszywania łat na dziury w džinsach urasta naraz do miary problemu. Jeśli się je przyszyje niewłaściwi, to się odstaje. A powinno się przystawać. Nie uważacie, że to jest szczególne określenie? Przystawać! Do kogo? Do nich. Do innych. Wszyscy razem. Bezpieczeństwo w masie. Ja nie jestem ja. Jestem gwiazdą koszykówki. Jestem lubianym kumplem. Jestem kolegą kolegów. Czarną skórzaną naroślą na siodełku hondy. Jestem członkiem. Jestem nastolatkiem. Nie możesz zobaczyć mnie, możesz zobaczyć jedynie nas. A my jesteśmy bezpieczni.

A gdy zobaczymy cię stojącego samotnie, to przy odrobinie szczęścia zostaniesz zignorowany; nie będziesz miał szczęścia - oberwiesz kamieniami. Bo nie lubimy, gdy ktoś stoi w ten sposób z tymi łatami na džinsach nie takimi jak trzeba i przypomina nam, że każdy z nas jest sam i żaden nie jest bezpieczny.

Staralem się, naprawdę się starałem. Staralem się tak usilnie, że aż mnie mdli, jak sobie o tym pomyślę. Naszyłem łaty na džinsach idealnie tak samo jak Bill Ebold, który robił wszystko tak jak trzeba. Gadałem o rozgrywkach w baseballu. Przez jeden semestr redagowałem gazetkę szkolną, ponieważ zespół redagujący był jedynym, do którego potrafiłem się wcisnąć. Ale nic z tego nie wyszło. Nie wiem dlaczego. Czasami myślę, czy introwertycy nie mają jakiegoś specjalnego zapachu, który jest wyczuwalny dla ekstrawertyków.

Niektóre chłopaki naprawdę niewiele mają swego ja. Tacy rzeczywiście są częścią grupy. Ale większość z nich po prostu gra - udaje - tak jak ja usiłowałem to robić. W głębi duszy wcale nie należą do grupy, a jednak trzymają się jej i jakoś im to wychodzi. Chciałbym to umieć. Serdecznie chciałbym być dobrym hipokrytą. Krzywdy się nikomu nie wyrządza, a żyć jest na pewno łatwiej. Ale nigdy nie udało mi się nikogo nabrać. Wiedzieli, że nie interesuje mnie to, co ich interesuje, i gardzili mną, a ja gardziłem nimi za ich pogardę dla mnie. Ale z drugiej strony gardziłem również tymi nielicznymi, którzy nie usiłowali się upodobać. W dziewiątej klasie jeden wysoki chłopak, który nigdy nie mył zębów i chodził do szkoły w białej sportowej kurtce, chciał się ze mną zaprzyjaźnić. Ale on mówił tylko w

kółko, że z tego jest piła, a z tamtego tępol, i chociaż przyznawałem mu rację, nie chciało mi się bez przerwy o tym gadać. W końcu zacząłem nim gardzić za snobizm. I wówczas poczułem pogardę dla siebie za to, że pogardzam wszystkimi. Tak, fajna sytuacja, nie ma co! Jeśli przeżyliście coś takiego, to wiecie, co mam na myśli.

Ponieważ starałem się ze wszystkich sił być jak inni, nie chciałem jechać na samych piątkach, ale ten problem rozwiązywała za mnie gimnastyczka. Z gimnastyki nie byłem gorszy niż większość chłopaków, ale obrywałem dwóje, bo miałem ją w nosie, bo nie mogłem znieść pana Thorpe'a. „Gdybyś potrafił na moment odwrócić swoje myśli od Keatsa i Shelleya, Griffiths, to mógłbyś przynajmniej stanąć z boku i przypatrzeć się, jak wygląda gra w koszykówkę”. Zawsze był to Keats i Shelley - słyszałem, jak używa niezmiennie tego samego zwrotu jeszcze do dwóch innych chłopaków. Wysykiwał to z autentyczną nienawiścią: Keatssisshelley, sss. Głupotą było zwracanie się w ten sposób do mnie, bo ja jestem dobry w matmie i we wszystkich przedmiotach ścisłych, ale jego nienawiść wzbudziła we mnie takie zainteresowanie, że zabrałem się za czytanie ze skryptu dla pierwszego roku „Ody do słowika” Keatsa. Shelleya w szkole nie przerabialiśmy, ale przejrzałem w bibliotece miejskiej jego utwory zebrane, a później kupiłem sobie tomik w antykwariacie, i tak to pan Thorpe, który nauczał gry w koszykówkę, naprowadził mnie na „Prometeusza niespętanego”. Powinien być mu wdzięczny. Ale to bynajmniej nie przyczyniło się do polepszenia moich stosunków z panem Thorpe'em w trzecim semestrze.

Ale - to ważne - nigdy mu nie odszczekiwałem. Nigdy nie mruknąłem ani słowa. A mógłbym przecież powiedzieć: „Kiedy ja, panie Thorpe, nie chcę odwracać moich myśli od Keatsa i Shelleya, czy tam sinusów i cosinusów, więc niech pan lepiej robi swoje i odbija tę swoją piłeczkę, dobra?” Niektórzy potrafili zdobyć się na coś takiego. Pamiętam, jak jeszcze w szkole podstawowej mała czarna dziewczynka z siódmej klasy postawiła się nauczycielowi od matmy: „Jeżeli się panu nie podoba moja praca, to niech się pan od niej odczepi raz na zawsze!” To była regularna walka; nauczyciel niczym sobie na to nie zasłużył, po prostu usiłował nauczyć tę dziewczynkę matmy - ale jednak była to regularna walka, był odwaga, którą podziwiałem. Ale ja nie potrafię w ten sposób. Brakuje mi czegoś. Nie podejmuję walki. Znoszę i wytrzymuję wszystko do momentu w którym mogę uciec. I wtedy uciekam. A czasem nie tylko znoszę i wytrzymuję, ale nawet się uśmiecham i mówię „przepraszam”.

Było to pięć dni po moich urodzinach. Miałem siedemnaście lat i pięć dni. Wtorek, 25 listopada. Deszcz. Kiedy wyszedłem ze szkoły lało porządnie, więc wracałem do domu

autobusem. Było wolne tylko jedno miejsce. Usiadłem i usiłowałem nie dotykać szyją kołnierza który podczas czekania na przystanku przemókł mi doszczętnie. W dotyku przypominał Lodowatą Rękę Śmierci. Więc siedziałem i czułem się winny.

Winny z powodu jazdy autobusem. Z powodu jazdy autobusem. Wiecie co - bycie młodym wiąże się z rzeczą okropną - z banalnością.

Powód, dla którego czułem się winny, że jadę autobusem, był taki: minęło pięć dni od moich urodzin, prawda? Na urodziny ojciec sprawił mi prezent Naprawdę wspaniały prezent. Coś niesamowitego. Musiał go planować i odkładać pieniądze dosłownie przez lata. Przyprowadził go, żeby na mnie czekał, kiedy wrócę ze szkoły. Zaparkował przed domem, a ja go nawet nie zauważyłem. Ojciec usiłował naprowadzić mnie aluzjami, ale nic nie chwytałem. W końcu musiał wyjść ze mną na dwór i pokazać. Kiedy dawał mi klucze, miał twarz skrzywioną, jakby zbierało mu się na płacz z radości i dumy.

Oczywiście był to samochód. Marki nie zdradzę, bo i tak ma za dużą reklamę na każdym kroku. Był to nowy samochód. Zegar, radio, wszystkie szykany. Ponad godzinę zajęło ojcu pokazywanie mi dodatkowych udogodnień.

Nauczyłem się prowadzić samochód i zrobiłem prawo jazdy w październiku. Uważałem, że w awaryjnych sytuacjach może się przydać, poza tym mogłem czasem załatwić jakieś sprawunki mamie i w ten sposób wyskoczyć gdzieś samemu. Mama miała samochód, tata miał samochód, teraz ja miałem samochód. Trzy osoby, trzy samochody. Szkopuł tylko w tym, że ja nie chciałem mieć samochodu.

Ile to cudo mogło kosztować? Nie pytałem, ale co najmniej trzy tysiące dolarów. Mój tata jest księgowym, nie mamy forsy do wyrzucania. Za taką sumę mógłbym utrzymać się przez rok na uczelni, gdybym dostał stypendium. Przyszło mi to do głowy od razu, zanim zdążyłem otworzyć małe, lśniące drzwiczki. Mógł złożyć te pieniądze w banku. Oczywiście można sprzedać samochód z niewielką tylko stratą, gdyby zrobić to szybko. Pomyślałem i o tym, i to właśnie wtedy, kiedy włożył mi klucze do ręki ze słowami: „Jest twój, synu!” i twarz mu się skrzywiła jak do płaczu.

A ja uśmiechnąłem się - chyba.

Nie wiem, czy go nabrałem. Jeżeli tak, był to zapewne pierwszy wypadek, kiedy udało mi się kogoś nabrać, i to tylko dzięki temu, że on strasznie chciał być nabrany, chciał wierzyć, że odebrało mi mowę ze szczęścia i wdzięczności. Wygląda, że sobie z niego szydę. Wcale nie mam tego zamiaru.

Oczywiście zaraz wzięliśmy samochód, żeby go wypróbować. Ja prowadziłem w stronę parku, a on z powrotem - aż go ręce świerzbiły, żeby chwycić za kierownicę - i

wszystko było w porządku. Kłopoty zaczęły się, kiedy w poniedziałek odkrył, że do szkoły nie pojechałem samochodem. Dlaczego?

Nie mogłem mu powiedzieć dlaczego. Sam to rozumiałem tylko w połowie. Gdybym zajeżdżał do szkoły wozem i postawił go na szkolnym parkingu, znaczyłoby to, że się poddałem. Że posiadam samochód, że on posiada mnie. Jestem jego właścicielem. On jest moim właścicielem. Jestem właścicielem nowego samochodu wyposażonego we wszystkie udogodnienia. Ludzie w szkole mówiliby: „Chłopaki, patrzcie no! Widzieliście? Widzieliście tego rajdowca, Griffithsa?” Niektórzy pokpiwaliby sobie, inni szczerze podziwialiby wóz, a może i mnie jako szczęśliwego posiadacza. Ale tego właśnie bym nie zniósł. Nie wiedziałem, kim ja właściwie jestem, ale jedno wiedziałem: nie jestem entuzjastą czterech kółek. Należałem do tych, którzy chodzą do szkoły piechotą (2,7 mili najkrótszą drogą), bo chodzenie jest tym, co lubię robić, i do tego naprawdę lubię ulice miasta. Chodniki, budynki, ludzi, których się mija. A nie światła hamowania na kufrze samochodu stojącego przede mną.

Więc w tym miejscu ustanowiłem granicę. Usiłowałem ją jak najstaranniej zamaskować jeżdżąc w sobotę po sprawunki dla mamy, a w niedzielę proponując rodzicom przejażdżkę po okolicy „moim nowym wozem”. W poniedziałek wieczorem granica została dostrzeżona. Nie pojechałeś do szkoły samochodem? Dlaczego?

Siedziałem więc we wtorek w autobusie z wyrzutami sumienia. Nie wracałem na piechotę mimo tych wszystkich zapewnień, że uwielbiam chodzenie i że lekarze zalecają spacerować jako najlepszą gimnastykę dla całego organizmu. Jechałem autobusem. Za dwadzieścia pięć centów. Tymczasem samochód za trzy tysiące dolarów stał na swych białych oponach radialnych przed naszym domem, akurat na wprost przystanku, na którym mam wysiąść.

Wypatrywałem przez okno, czy dostatecznie leje, aby się rozgrzeszyć, że nie wracam na piechotę. Lało tak, że szyby w autobusie wydawały się zrobione ze szkła mrożonego, ale gołe fakty niewielką chyba mogą przynieść ulgę sumieniu. Wyobraziłem sobie, jak ojciec wieczorem pyta: „Nie pojechałeś dziś do szkoły samochodem? Czemu?” Aż mnie skreśliła na tę myśl i przy tym skreśleniu zauważyłem, że osoba siedząca przy oknie to dziewczyna z naszej szkoły. Powiedziałem: „Cześć”, ona też powiedziała „Cześć”, a ja gorąco zapragnąłem, żeby siedział tam ktoś nieznamy, na kogo mógłbym nie zwracać uwagi.

Fieldowie od kilku lat mieszkają na naszej ulicy, o dwie przecznice dalej. W pierwszych latach szkoły ja i Natalie byliśmy w jednej klasie. Miała długie, ciemne włosy, była spokojna, nigdy nie rzucała się w oczy i miała coś do czynienia z muzyką. To była dokładnie cała moja wiedza o Natalie Field. Była ładna, ale mnie prawie wszystkie

dziewczyny wydają się ładne, więc nie mogę uchodzić za eksperta. Pewno nie uznano by jej za piękność, bo była krępa i miała surową minę, ale według mnie była ładna, tylko po prostu człowiek nie zwracał na to uwagi, bo ona nie zwracała uwagi na człowieka.

Jednak tym razem zwróciłem na to uwagę, bo ona zwróciła uwagę na mnie. Musiałem. Kłapa od mojej teczki przemokła na wylot i kapało z niej na kolano Natalii. Przesunąłem teczkę tak, żeby kapało na moje udo, i powiedziałem:

- Przepraszam, to tylko przecięta tętnica, zaraz ustanie.

To naprawdę dziwne, że tak się odezwałem. Normalnie mruknąłbym „przepraszam”, odsunął teczkę i na tym poprzestał. Myślę, że miałem wtedy tak dość siebie, swoich wyrzutów sumienia z powodu samochodu, swojej irytacji, samotności i rozmyślań, że mieć siedemnaście lat ot niewielka przyjemność, jeszcze mniejsza, niż mieć szesnaście, i tak dalej w tym stylu, że chciałem oderwać się od samego siebie. Uciec wszystko jedno jak! Nawet wygłupiając się przed jakąś nieznaną dziewczyną. A może było w niej coś, co sprawiło, że zacząłem mówić, że mogłem mówić. Może kiedy spotykamy ludzi, których przeznaczone jest nam spotkać, wiemy o tym jakoś nawet nie wiedząc. Zresztą nie wiem.

Roześmiała się szczerze, zaskoczona i rozbawiona. Więc zasuwałem dalej:

- Z tętnicy udowej wystarczy siedem sekund, może piętnaści, nie pamiętam dokładnie.

- Jak to?

- Śmierć przez wykrwawienie. Ggghhh.

- Opadłem na oparcie i skończyłem spokojnie. Ale naraz usiadłem i powiedziałem: - Ajajaj, kołnierzyk mam mokry, ziębi jak porcja lodów.

- Masz całe włosy mokre, kapie ci na kołnierzyk.

- Jestem kropłówka - oznajmiłem z uczuciem.

- Słuchaj - powiedziała - czy ciebie uczy historii pan Senotti? Dobry jest?

- Niezły. Piła. I wiecznie się wścieka. Może dlatego, że nazywają go Wrzaskotti. Facet jest w porządku.

- Dołożyli mi jeszcze jeden przedmiot humanistyczny i tylko mało wymagający nauczyciel może mnie uratować.

- W takim razie Wrzaskotti odpada. Spróbuj Vrebek. Ona się ogranicza do puszczenia filmów.

- Byłam w jej grupie. I właśnie przez to zrezygnowała. A zresztą nie wiem. Paf! - Naprawdę powiedziała „Paf”, tylko że z wściekłością. - Nienawidzę bezpłciowych zajęć, a nie mam czasu, żeby na serio wkuwać u dobrych nauczycieli. - Mówiła bardziej do siebie niż do mnie. Nadstawiłem jednak uszu. Przez dwanaście lat chodzenia do szkoły (w tym

przedszkole) nigdy nie słyszałem z ust żadnej istoty, że nienawidzi bezpłciowych zajęć.

- Dlaczego nie masz czasu? - zapytałem. - Uszkodzenie tętnicy udowej? Pamiętaj, tylko bez paniki. Masz całe piętnaście sekund.

Roześmiała się znowu i znowu popatrzyła na mnie. Tylko przez chwilę. Ale popatrzyła i zobaczyła. Nie patrzyła na mnie, żeby zobaczyć, jakie ona robi wrażenie, tylko jakie ja robię wrażenie. Jeśli o mnie chodzi, jest to doświadczenie zupełnie szczególne.

Już wtedy zwróciłem uwagę na to, że chyba rzadko ja ktoś zabawiał, że nie była przyzwyczajona do wygłupów, a lubiła je. Dziwna rzecz, ale ja też się rzadko wygłupiałem. Przy ludziach, których dobrze nie znałem - czyli wobec całego ludzkiego gatunku, z wyjątkiem rodziców, Mike'a Reinharda i Jasona Thoera - byłem albo całkowicie niemy, albo mówiłem o śmiertelnie poważnych rzeczach, co z miejsca mroziło wszelką rozmowę. Ale w końcu jestem chłopakiem i wydaje mi się, że w wieku lat kilkunastu wygłupianie jest niemal instynktowną formą zachowania się mojej płci. Dziewczyn śmieją się z czegoś, ale w zasadzie są chyba poważne. Natomiast chłopaki błaznują i wygłupiają się, i ze wszystkiego robią zgrywy. Moje jedyne bliższe związki najbardziej przypominające przyjaźń - z Mike'iem i Jasonem - zasadały się na dowcipkowaniu. Punktem honoru było, aby nigdy niczego nie traktować serio. Może z wyjątkiem wyników sportowych. Jednym z najczęstszych tematów rozmów był seks. Należało jednak traktować go lekko, co osiągałiśmy albo opowiadając świńskie kawały, albo posługując się ordynarnym słownikiem z zakresu inżynierii seksualnej, jakby kobieta była maszyną z częściami zamiennymi. W świńskich kawałach byłem niezły, ale techniczne słownictwo miałem nie przekonujące.

Muszę w tym miejscu przyznać, że w wieku piętnastu lat nie wiedziałem jeszcze, co to znaczy „zaliczyć dziewczynę”. Myślałem, że to znaczy pójść gdzieś razem, do kina albo na prywatkę czy coś w tym guście. Byłem uświadomiony, oczywiście, ale zwrot „zaliczyć” nie kojarzył mi się jak trzeba. Mike, który był o wiele dojrzalszy ode mnie fizycznie, zaczął kiedyś opowiadać, że w końcu zaliczył dziewczynę. A ja wtedy zapytałem: „No, dobra, i coście robili?” Popatrzył na mnie dziwnie i powiedział: „A jak uważasz, co mogliśmy robić?” Nigdy w życiu nie czułem się bardziej idiotycznie. Czerwienię się jeszcze teraz, kiedy o tym mówię do mikrofonu. Mike oczywiście musiał rozgadać wszystkim naokoło, jak to ja go spytałem: „No i coście robili?” Miele kupę radości. Ale w końcu zapomnieli o tym, a ja opracowałem sobie solidną serię świńskich kawałów, żeby móc jakoś rozmawiać z Mike'iem i Jasonem. Zawsze lepsze to niż siedzenie w czasie lunchu samemu.

Jeszcze jedno w sprawie humoru i powagi - nie zawsze rozwijają się one zgodnie z tym, co powiedziałem. Zdarza się, że starsze panie mówią bardzo śmieszne rzeczy, a starsi

panowie robią się śmiertelnie poważni. Mojemu ojcu nie pozostało ani krzty poczucia humoru. Równy facet, ale nie ma dla niego nic śmiesznego. A tymczasem nieraz słyszałem, jak mama ze swoją przyjaciółką Beverley zaśmiewały się w kuchni tak, że aż się zataczały jak pijane i tchu nie mogły złapać. Śmiały się z jakiegoś głupstwa, które palnęła Beverley. Było to takie zaraźliwe, że sam zaczynałem się śmiać z niczego, dla czystej przyjemności.

Tak czy owak, fajnie było, jak się ta dziewczyna śmiała z moich nędznych dowcipów, więc brnąłem dalej:

- Wygląda mi na to, że będą tu potrzebne dwie aspiryny i opaska uciskająca. Proszę przyjść do mnie z tą nogą jutro. Mamy tu jednego trzynożnego centaury, który czeka na przeszczep. - I tak dalej. Słabiutkie to było. Ale ona tak się śmiała... A w końcu, kiedy koncept mi się wyczerpał, zapytałem: - Nie masz czasu, bo co? Pracujesz?

- Daję lekcje.

Nie mogłem sobie przypomnieć, na jakim instrumencie grała. A pytać było niezręcznie.

- Lubisz to?

Wzruszyła ramionami i skrzywiła się.

- No cóż to jest muzyka - powiedziała. Tak jak ludzie mówią: no cóż, to jest życie. Ale kryło się pod tym coś innego.

- Masz zamiar w przyszłości zająć się uczeniem muzyki?

- Nie - powiedziała w ten sam sposób, jak przedtem mówiła „Paf”. - Nie uczeniem. Samą muzyką.

Wyrzucała słowa z gwałtownością, której sam Tarzan by się nie powstydził. Ale to nie było przeciwko mnie. Ta gwałtowność przebijała się przez głos miły, czysty i łagodny w brzmieniu. Zacząłem udawać małpę.

- Nie uczyć, uch, uch, zabić nauczyciel. Dobry nauczyciel, miam, miam. Nie nauczyciel. Dobry tłusty brzusek z nauczycielem.

Natalie sprostowała:

- Do kitu nauczyciel. Same kości.

Siedzący naprzeciwko osobnik obdarzył nas spojrzeniem nr 12 z serii: zamknąć do klatki. Pod wpływem takiego spojrzenia powstaje między ludźmi więź.

- A ty czym chcesz zostać? - zapytała Natalie.

- Uch, uch, zawodowym gorylem. Obecnie poddawany zabiegom pielęgnacyjnym Salonie Piękności - i zademonstrowałem te zabiegi wyłapując pchły z teczki i zjadając je ze smakiem. Potem oznajmiłem: - Mam zamiar zostać nauczycielem. - Dało to śmieszniejszy

efekt niż udawanie małpy i oboje roześmialiśmy się.

- Serio?

- Nie. Nie wiem jeszcze. Może. Sam nie wiem. Zależy od tego, gdzie pójde na studia.

- A gdzie chcesz pójść?

- Na MIT.

- Co to jest? Instytut Telepatii w Minnesocie?

- Instytut Techniki w Massachusetts. Laboratoria. Hektary laboratoriów. Białe szczury. Ludzie w białych fartuchach poświęcający życie, aby wydrzeć tajemnice wszechświata. Potwór Frankensteina i tak dalej.

- Aha - powiedziała Natalie. Nie powiedziała tego ani z powątpiewaniem, ani nie drwiąco, ani tak sobie. Powiedziała to zdecydowanie. Właściwie tak. Aha. I dodała: - Fajna sprawa.

- A także kosztowana.

- Co tam - powiedziała. - To zawsze można załatwić.

- Jak?

- Stypendium albo praca. Właśnie dlatego daję lekcje, żeby móc zdawać na Tanglewood.

- Tanglewood w Nowej Południowej Walii?

Parsknęła śmiechem i wyjaśniła:

- To taka szkoła muzyczna.

- Pewnie niedaleko Instytutu Telepatii w Minnesocie.

- Zgadza się.

Akurat był mój przystanek. Podniosłem się i powiedziałem.

- Na razie. - I wysiadłem w deszczu. Dopiero na chodniku pomyślałem sobie, że mogłem pojechać dwie przecznice dalej, do jej przystanku, wtedy można by było jakoś skończyć rozmowę. Urwała się tak nagle. Kiedy autobus ruszała, podskoczyłem parę razy jak małpa w miejscu, w strugach deszczu, ale ona siedziała po drugiej stronie autobusu i nikt nie zwrócił na mnie uwagi, z wyjątkiem dozorca Zoo, który szybko odwrócił się z niesmakiem.

Całą tę autobusową rozmowę z Natalie Field zrelacjonowałem tak dokładnie, ponieważ była to mało ważna rozmowa, która okazała się wyjątkowo ważna dla mnie.

Mam zdaje się skłonność do wyobrażania sobie, że ważne może być tylko to, co uroczyste, namaszczone i co rozgrywa się na tle stłumionej muzyki. Trudno sobie wyobrazić, że sprawy naprawdę ważne mogą mieć postać zwyczajnych, drobnych zdarzeń i decyzji i że nic ważnego nie wynika na ogół z tych spraw, które rozgrywają się w pełnej gali, w świetle

rampy, z muzyką w tle.

Z całej tej rozmowy tylko jedno słowo utkwiło mi w pamięci, słowo najzupełniej zwyczajne, bez znaczenia. Ni to, jak ona wyglądała, ani jak na mnie patrzyła, ani nawet nie to, że moje wyglupy ją rozśmieszyły, albo może to wszystko razem wtłoczone w jedno słowo - aha - i sposób, w jaki je wymawiała. Aha. Więc masz zamiar być tym. Było to jak skała. Ilekroć spoglądałem w głąb siebie, trwała na miejscu.

A mnie skała była potrzebna. Coś, czego mógłbym się przytrzymać, na czym mógłbym stanąć. Coś stałego. Ponieważ wszystko robiło się takie miękkie, zmieniało się w papkę, maź mgłę. Mgłę opływającą cię ze wszystkich stron. Zupełnie nie wiedziałem, gdzie jestem.

Rzeczywiście zaczęło to wyglądać niedobrze. Zbierało się już od pewnego czasu, od dość dawna, jak mi się wydaje, ale wylazło na wierzch w związku z samochodem.

Bo dając mi samochód ojciec jakby mówił: Chcę, żebyś był właśnie taki. Żebyś był normalnym amerykańskim nastolatkiem szalejącym za samochodami. I tym swoim prezentem uniemożliwił mi powiedzenie tego, co chciałem powiedzieć, a mianowicie, że rozumiałem, że taki właśnie nie jestem i nie mam zamiaru nigdy być i że ktoś musi mi pomóc zrozumieć, kim w takim razie jestem. Ale powiedzieć to teraz znaczyłoby tyle, co powiedzieć: „Zabieraj sobie swój prezent z powrotem, nie chcę go!” A tego zrobić nie mogłem. Włożył w ten podarunek tyle serca. Nic lepszego nie był w stanie mi dać. A tymczasem ja miałbym mu powiedzieć: „Zabieraj się, tata, nie chcę cię!”

Myślę, że mama wszystko to rozumiała, ale na swój sposób, który mi nic nie mógł pomóc. Moja mama była i jest dobrą żoną. I to jest dla niej sprawa najważniejsza - być dobrą żoną i matką. Zawsze solidaryzuje się z ojcem. Oczywiście czasem go tam za coś podkręci, ale nigdy się z niego nie wyśmiewa, nie wsadza mu szpilek, nie upokarza go, jak to robią inne kobiety. We wszystkich poważniejszych sprawach trzyma jego stronę. Co on zrobi - wszystko jest dobrze. No i dba o porządek w domu, naprawdę świetnie gotuje i robi przeróżne wypieki, a kiedy człowiek potrzebuje czystej koszuli, to koszula jest pod ręką i kiedy jest zbiórka na program wali z dystrofią mięśniową albo jakaś akcja społeczna i potrzebny jest organizator albo kwestor, mama zawsze się podejmuje. A jeśli komuś się wydaje, że takie prowadzenie domu i zajmowanie się rodziną, nawet niedużą, tak aby wszystko grało, jest prostą sprawą, to niech sam spróbuje przez rok albo dwa. Mama ma dużo roboty i wszystko, co robi, robi z głową. Cała bieda polega na tym, że boi się zająć czymkolwiek innym, być kimś innym. Myślę, że nie ze względu na siebie, tylko boi się, że gdyby pozwoliła sobie na robienie czegokolwiek innego niż dbanie o nas, byłaby to zdrada, przestałaby być dobrą matką i żoną.

Wydaje jej się, że zawsze powinna być na posterunku. Nie potrafi sobie nawet wygospodarować tyle czasu, żeby przeczytać książkę. Myślę, że nie czyta książek dlatego, że ciekawa powieść mogłaby ją zaabsorbować, wciągnąć i byłaby wtedy gdzie indziej, nie byłaby prze nas. A to jest według niej niedopuszczalne. Czyta więc tylko magazyny poświęcone sprawom kulinarnym i urządzeniu mieszkań i jakieś pismo turystyczne proponujące superkosztowne wycieczki do miejsc, których wcale nie chce zobaczyć. Ojciec dużo czasu poświęca telewizji, ale mama nie bardzo się nią interesuje i chociaż zwykle siedzi razem z ojcem w pokoju z telewizorem, to albo szyje, albo robi na drutach, albo jest zajęta domowymi rachunkami, albo opracowuje listę na akcję społeczną. Zawsze gotowa wstać i zrobić to, co akurat trzeba zrobić.

Nie rozpieściła mnie, w każdym razie nie więcej, niż rozpieszcza się każdego jedynaka, który siłą rzeczy znajduje się w centrum uwagi. Kiedyś usiłowała ograniczyć moje ślęczenie nad książkami, ale zdaje się, że machnęła na to ręką, kiedy miałem dwanaście czy trzynaście lat. Zawsze, odkąd sięgam pamięcią, musiałem utrzymywać porządek w swoim pokoju i pomagać w ogródku. Strzygę trawnik i wynoszę śmieci, i tym podobne., Oczywiście tylko męskie roboty. Nie umiałem obsługiwać pralki ani wirówki do czasu, kiedy mama poszła na operację i później przez dwa tygodnie nie mogła wchodzić po schodach. Podejrzewam, że ojciec też nie ma o tym pojęcia. To babska robota. Zabawne, bo stary ma bzika na punkcie techniki. Wszystkie nasze domowe urządzenia muszą mieć po dwanaście programów i wszelkie możliwe przystawki. Gdyby kiedykolwiek kupił zwykły, prosty model, miałby poczucie, że źle traktuje żonę. Ale jeżeli jest to sprzęt gospodarstwa domowego, to zajmuje się nim mama. Gdy coś się zepsuje, mama wzywa mechanika. Tata nie lubi dowiadywać się, że coś źle funkcjonuje.

Dlatego nie mogłem powiedzieć nic o samochodzie. Bo przez ten samochód ja sam zacząłem źle funkcjonować. Po prostu przebrała się miara, dobiłem do ostatniego przystanku. Musiałem wysiąść. Ale gdy wysiadłem, okazało się, że na zewnątrz nie ma nic, tylko deszcze i mgła, i ja rzucający się na wszystkie strony w małych podrygach na które nikt nie zwraca uwagi.

Tego dnia przyszedłem od strony przystanku autobusowego. Mama była w kuchni i ucierała coś w mikserze. Zawołała coś do mnie przekrzykując wycie silniczka, ale nie dosłyszałem co. Poszedłem na górę do swojego pokoju, rzuciłem torbę. Ściągnąłem kurtkę z mokrym kołnierzem i tak stałem. Deszcz bębnił o dach. Powiedziałem: „Jestem intelektualistą. Jestem intelektualistą. Jestem intelektualistą, a wy wszyscy możecie iść do diabła!”

Usłyszałem swój głos, który zabrzmiał nieprawdopodobnie słabo. Nieważne. No więc byłem intelektualistą i co poza tym nowego? Wtedy właśnie zewsząd otoczyła mnie mgła. I wtedy właśnie odnalazłem skałę. Było to dokładnie tak, jakby moja ręka zacisnęła się wokół mocnej litej skały. Dziewczyna w autobusie mówiąca: „Aha” tym pewnym, spokojnym głosem. Aha. Trzymaj tak i bądź tym, kim jesteś.

Więc kiedy wytarłem z grubsza włosy ręcznikiem, usiadłem przy biurku i zacząłem po raz któryś z rzędu czytać *Psychologię świadomości*. Orsteina. Bo czymś takim właśnie chciałem się zajmować - myśleć o tym, jak właściwie człowiek myśli.

Ale długo to nie trwało. Omsknąłem się ze skały. Przy obiedzie ojciec zaczął się rozwodzić na temat docierania samochodu. Trzeba jeździć codziennie, z umiarkowaną szybkością, a trasa do szkoły i z powrotem doskonale się do tego nadaje.

- Jeżeli chcesz, to mogę przez jakiś tydzień pojeździć nim do pracy - powiedział. - Nowy samochód nie powinien stać bezczynnie.

- OK - zgodziłem się. - Proszę bardzo.

No i tu się zaczęło.

Twarz mu stężała.

- Skoro nie chciałeś samochodu, mogłeś mi powiedzieć.

- Nigdy mnie nie spytałeś, czy chcę mieć samochód.

Twarz mu stężała jeszcze bardziej. Zrobiła się niby zaciśnięta pięść.

- Jest prawie nie używany - zaczął. - Powinni przyjąć go z powrotem. Oczywiście pełnej ceny nie zwrócą. Nie mogą go przecież sprzedać jako nowy.

- Co za głupstwa wygadujecie - odezwała się mama. - A jak Owen będzie dojeżdżać w przyszłym roku co dzień na zajęcia bez własnego samochodu? Autobusem traciłby godzinę w jedną stronę. Na miłość boską, Jim, nie wymagaj, żeby z punktu zamieszkał w samochodzie. Jeśli chcesz brać wóz do pracy, to bierz. Ale w przyszłym roku samochód będzie mu nieodzowny.

To było znakomite zagranie. Moja matka jest kobietą wybitnie inteligentną. Po prostu podsunęła ojcu pierwszorzędne praktyczne uzasadnienie dla jego daru, które usprawiedliwiała, tłumaczyło ten dar. Uniwersytet Stanowy znajduje się dokładnie na drugim końcu miasta, mniej więcej dziesięć mil od naszego domu. Samochód byłby mi z pewnością potrzebny, gdybym miał dojeżdżać w przyszłym roku na wykłady. Kłopot polegał jednak na tym, że ja nie chciałem studiować na Uniwersytecie Stanowym.

Ale gdybym się teraz z tym wyrwał, gdybym zapytał: „A co będzie, jeśli pójdę gdzie indziej na studia?”, wywołałbym nową burzę. Mielibyśmy dwie kłótnie zamiast jednej.

Ponieważ mama postanowiła nieodwołalnie, że pójdę na Uniwersytet Stanowy. I to absolutnie nieodwołalnie. Ona sama tam studiowała, tam poznała tatę i zrezygnowała z nauki na pierwszym roku, żeby wyjść za męża. Jej najlepsza przyjaciółka Beverley działała tam w korporacji studenckiej. Mama знаła ten uniwersytet. Był bezpieczny. Uczelnie, na które ja chciałem zdawać, nie były bezpieczne. Znajdowały się daleko i mama nie rozumiała, co się tam dzieje; aż roily się od komunistów i radykałów, i intelektualistów.

Złożyłem podanie do Instytutu Techniki Massachusetts, do Kalifornii i do Princeton, do Stanowego zresztą też. Ojciec wypełniał formularze o przyznanie stypendium i opłacał wpisowe. Formularze były niesamowite, każdy w czterech egzemplarzach, ale przy jego zawodowych upodobaniach czyste i skrupulatne wypełnianie rubryk sprawiło mu nawet przyjemność, a i koszty manipulacyjne wpłacił bez protestu, bo jak sądzę, trochę mu imponowało moje porywanie się z motyką na słońce. Podejrzewam, że w biurze napomykał kolegom, że jego syn zdaje do Princeton. Miło się było pochwalić, zwłaszcza jeśli nie istniała groźba, żebym miał tam studiować. Ale matce, o ile mi wiadomo, nic o tym nie wspominał, ona też nie rozmawiała na ten temat ani z nim, ani ze mną. Jeżeli chcecie wyrzucić dziewięćdziesiąt dolarów na wpisowe, to proszę bardzo, ale tak czy owak jej syn pójdzie na Uniwersytet Stanowy.

A dysponowała rzeczowym argumentem. Bardzo mocnym. Na te studia było ich stać.

Nie powiedziałem nic. Nie mogłem. Dostałem szczękoscisku. Nie mogłem przełknąć kawałka pieczeni, nad którym się właśnie męczyłem. Po prostu leżał mi w ustach, włóknista gula. Nie mogłem sobie z nim poradzić. Przesunąłem go językiem na jedną stronę, popiłem mlekiem i po dłuższym czasie zdołałem trochę go pogryźć i jakoś przełknąć. Wreszcie obiad dobiegł końca. Poszedłem do siebie odrabiać lekcję. Ale to nie miało sensu. Po co miałem się uczyć? W jakim celu? Na Stanowy mogę się dostać bez uczenia. Prawdopodobnie mógłbym przejść przez całe studia w ogóle się nie ucząc. I tak pewno można by jechać dalej - zostać księgowym albo poborcą podatkowym, albo nauczycielem matmy, zyskać szacunek i pozycję, i ożenić się, i założyć rodzinę, i zestarzyć się, i umrzeć, nigdy się nie ucząc. Dlaczegoż by nie? Wielu ludzi tak żyło. Myślisz, że jesteś taki wyjątkowy, Griffiths?

Nie mogłem znieść widoku tych wszystkich książek w pokoju, nienawidziłem ich. Zszedłem na dół i ponad duchem tego kawałka wołowiny, który jakby ciągle jeszcze tkwił mi na ustach, powiedziałem:

- Wychodzę się przejechać. - Wyszedłem na dwór i wsiadłem do nowego samochodu. Okazało się, że w niedzielę zostawiłem kluczyki w stacyjce. Tata jakoś nie zauważył. W ciągu minionych dwu dni mogli ukraść samochód. Obcy! Włączyłem silnik i ruszyłem bardzo

wolno ulicą. Żeby się dotarł.

Dojeżdżając do drugiej przecznicy minąłem dom Fieldów.

OK, teraz zdaje sobie sprawę, że byłem wtedy chory, naprawdę chory, tuż po kryzysie, co jasno wynika z mojego ówczesnego postępowania.

Postąpiłem tak, jakby postąpił każdy amerykański chłopak pasjonujący się samochodami, gdy spotyka dziewczynę, która mu się podoba. Zatrzymałem wóz, cofnąłem, zaparkowałem przed wejściem do Fieldów i poszedłem do drzwi frontowych, i zapukałem, i powiedziałem pani Field:

- Czy zastałem Natalie?
- Ćwicz teraz.
- Czy może zejść na chwilę?
- Zapytam ją.

Pani Field jest przystojną kobietą, starszą od moich rodziców. Miała ten sam surowy wyraz twarzy co Natalie, ale była ładniejsza. Może Natalie też będzie taka ładna koło pięćdziesiątki. Nieco zniszczona i wypolerowana jak kawałek granitu w zatoce. Pani Field nie traktowała mnie ani przyjaźnie, ani nieprzyjaźnie, ani nie demonstrowała gościnności, ani chęci pozbycia się mnie. Była spokojna. Po prostu stwierdzała fakty. Odstąpiła na bok - wciąż padało - i wpuściła mnie do przedpokoju; nie pytała o nic więcej; poszła na górę. Kiedy się oddaliła, usłyszałem, jak Natalie gra. To na pewno skrzypce, pomyślałem sobie. Niesamowity hałas, mimo że dom Fieldów był większy od naszego i starszy, o grubych murach. Wielki, słodki, potężny, gwałtowny hałas pędzący schodami w dół jak strumyk przez skały, jasny i wartki - i naraz zatrzymał się. Ja go zatrzymałem.

Usłyszałem, jak pani Field mówi na piętrze:

- Przyszedł syn Griffithsów. - Wiedziała, kim jestem, bo ubiegłem wiosny mama wciągnęła ją do akcji dobroczynnej i wtedy była u nas na spotkaniu organizacyjnym.

Natalie zeszła na dół. Brwi miała zmarszczone, włosy w zupełnym nieładzie.

- O, cześć, Owen - powiedziała z takiego dystansu, jakby była co najmniej na orbicie Neptuna.

- Przepraszam, że przeszkodziłem ci w grze.
- Nie szkodzi. Masz coś do mnie?

Miałem zamiar zapytać, czy nie przejechałaby się za mną moim nowym samochodem, ale nie mogłem. Odpowiedziałem:

- Nie wiem.

I powrócił duch pieczeni, i całkowicie zakłajstrował mi usta.

Popatrzyła na mnie i po długiej, okropnej ciszy zapytała:

- Czy coś się stało?

Kiwnąłem głową.

- Chory jesteś?

Potrząsnąłem głową. Od tego potrząśnięcia jakby mi się trochę przetało w mózgu.

Bąknąłem:

- Jestem wytrącony z równowagi. Chodzi o rodziców. I w ogóle. Nic gardłowego.

Tylko że ja. Ja chciałbym pogadać. Tylko że... Tylko że nie mogę.

Stała jak wrośnięta w podłogę. Powiedziała:

- Chcesz może szklankę mleka?

- Dopiero co jadłem obiad.

- No to może herbatki z rumianku? - zaproponowała.

- Peter Rabbit.

- Wejdz!

- Nie chcę ci przerywać. Słuchaj. Czy mógłbym posiedzieć i posłuchać, jak ćwiczysz?

Bardzo by ci to przeszkadzało?

Po chwili wahania powiedziała:

- Nie. Chcesz naprawdę? To nudne.

Poszliśmy do kuchni, gdzie nałala mi filiżankę przeokropnej herbaty, a potem poszliśmy na górę do tego pokoju. Ale to jest pokój! Wszystkie ściany w domu Fieldów są pomalowane na ciemno, wnętrza wydają się pustawe i mają coś ze spokoju i surowości pani Field, ale ten pokój jest najbardziej pusty. Znajduje się w nim jedynie wschodni dywanik, wytarty do samej osnowy, czy jak to się tam nazywa, tak że z trudem można się było dopatrzeć, jakiego było on ongiś koloru, oraz olbrzymi fortepian, trzy pulpity pod nuty i krzesło. Usiadłem na dywaniku.

- Możesz usiąść na krześle - powiedziała - ja ćwiczę na stojąco...

- Tutaj mi dobrze.

- OK - zgodziła się. - To jest kawałek Bacha. W przyszłym tygodniu będę miała próbne nagranie. - Zdjęła skrzypce z fortepianu i wbiła je sobie pod podbródek charakterystycznym ruchem skrzypków - po rozmiarach zorientowałem się, że była to altówka, nie skrzypce - i potarła smyczek kalafonią, wpatrzyła się w nuty na pulpicie i zaczęła grać.

Nie przypominało to zwykłego koncertu. Po pierwsze pokój był taki wysoki i pusty, że dźwięk brzmiał potężnie, głośno, przenikał aż do szpiku (kiedyś później powiedziała, że ten

pokój jest świetny do ćwiczeń, bo słyszy w nim wszystkie swoje błędy). Wykrzywiła się podczas gry i mamrotała coś do siebie. I grała w kółko na okrągło ten sam kawałek.

Ten grzmiący pasaż, który rozlegał się, kiedy wszedłem, powtarzała chyba z dziesięć razy czy piętnaście razy, chwilami odchodząc od niego, aby po chwili znowu do niego powrócić, i zaczynała wszystko od początku. Za każdym razem brzmiał trochę inaczej. Aż w końcu wyszło jej tak samo dwa razy z rzędu. Wykonała go właściwie. Przeszła do następnego fragmentu. Potem, kiedy przegrała od początku do końca całą część, ten pierwszy kawałek brzmiał tak samo trzeci raz z rzędu. Dobra. W porządku.

Nigdy przedtem nie przyszło mi do głowy, że muzyka i myślenie są tak do siebie podobne. Na dobrą sprawę można powiedzieć, że muzyka jest pewnym sposobem myślenia albo że myślenie jest jakimś rodzajem muzyki. Powiadają, że naukowiec musi cechować cierpliwość i że jego praca to w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach czarna robota, systematyczne powtarzanie prób, dokładność i zdobywanie absolutnej pewności. I to jest prawda. W ubiegłym roku miałem bardzo dobrą nauczycielkę biologii, pannę Capswell, i w drugim półroczu razem z nią przeprowadzałem po lekcjach różnej doświadczenia w laboratorium. Zajmowaliśmy się bakteriami. Dokładnie to samo, co z altówką Natalie. Wszystko musiało być prawidłowo; I to była chyba najważniejsza zdobycz, którą wyniosłem z całego dnia - zrozumienie tego faktu. Usiłowaliśmy z panną Capswell powtórzyć eksperyment ogłoszony w czasopiśmie *Science*. Natalie usiłowała powtórzyć, co Bach ogłosił w pewnej parafii w Niemczech dwieście pięćdziesiąt lat temu. O ile zagra absolutnie prawidłowo, może się okazać prawdziwe. Może być prawdą.

Uświadomienie sobie tej sprawy było chyba najważniejszą rzeczą, która wydarzyła mi się owego dnia.

Mniej więcej po czterdziestu minutach ćwiczeń doszła do dość opornego, szybkiego fragmentu, zmagając się z nim chwilę, w końcu rozzłościła się, przejechała po strunach YAARKHH i urwała. Usiadła obok mnie na dywaniku i zaczęliśmy gadać. Powiedziałem co myślę o muzyce, i zgodziła się ze mną; zapytała tylko, czy naukowiec nie musi oddzielać uczuć od myślenia, bo w muzyce stapiają się w jedno. Nie wydawało mi się to całkiem słuszne, ale nie mogliśmy rozgryźć, jak z tym w nauce jest. Opowiedziałem jej o współpracy z panną Capswell i jak było fajnie, bo po raz pierwszy w życiu spotkałem osobę, która przyjmowała za rzecz oczywistą, że myślenie może być pasjonujące. Pracując z nią w laboratorium chyba pierwszy raz w życiu nie czułem się obcy ani skrepowany, ani sztuczny dlatego, że uświadomiłem sobie, że choćbym nie wiem jak się wysilał, nigdy nie będę i nie muszę być ekstrawertykiem ani duszą towarzystwa, ani jednym z paczki, więc mogłem dać

sobie z tym spokój. Ale panna Capswell została przeniesiona po wakacjach do innej szkoły i kiedy na jesieni wróciłem do swojej klasy, buda była jeszcze gorsza niż przedtem, ponieważ dlatego, że już nawet nie podejmowałem wysiłków, żeby być jej częścią, i całkiem zweekstrowałem na boczny tor. Oczywiście wtedy nie powiedziałem Natalie tego wszystkiego. Ale gadaliśmy trochę o szkole, przystosowaniu się i o tym, jak trudno jest być innym. Powiedziała, że tak to wygląda, jakby człowiek miał do wyboru albo być takim jak inni ludzie, albo takim, jakim ludzie chcieliby go widzieć. Albo przystosowanie, albo posłuszeństwo. I to naprowadziło mnie na sprawę samochodu, i studiów, i moich rodziców. Natalie rozumiała doskonale sprawę samochodu, ale niezupełnie sprawę studiów. Powiedziała:

- No dobra, ale przecież nie zrezygnujesz z takich studiów, jakie ci leżą, i nie pójdziesz na taki uniwersytet, który ci nie odpowiada. Niby dlaczego?

- Bo oni tego chcą.

- Ale oni przecież chcą źle.

- Nie wiem. Poza tym w grę wchodzi forsa.

- Są pożyczki i stypendia.

- Tam jest ostra konkurencja.

- Co ty powiesz! - powiedziała z wyraźną kpina. - Więc musisz stanąć do tej konkurencji. Jedyne, co możesz zrobić, to spróbować, no nie?

Trudno było znaleźć odpowiedź. Ale z innych powodów niż w rozmowie z rodzicami. Dla nich trudno jest znaleźć odpowiedź, bo nigdy nie można z nimi dotrzeć do sedna sprawy, a dla niej dlatego, że docierała tam pierwsza. Ale przynajmniej nie skazywała mnie na walkę z widmem kawałka wołowiny. Mama Natalie przyniosła nam na górę jeszcze jakiś inny rodzaj okropnej herbaty i gadaliśmy sobie szczerze właściwie o niczym i o dziesiątej trzydzięci wyszedłem, bo pomyślałem, że ona chce jeszcze poćwiczyć. Wspomniała, że stara się ćwiczyć trzy godziny dziennie. Poszwendąłem się trochę po ulicach, przyjechałem do domu i położyłem się do łóżka. Byłem solidnie zmęczony. Jakbym przeszedł ze sto mil na piechotę. Ale mgła roziała się. Położyłem się natychmiast usnąłem.

Wszystko to, jak już wspominałem, działo się 25 listopada. Od tego dnia do Nowego Roku moja znajomość z Natalie Field zacieśniła się. Dobrze nam było ze sobą. Jak tylko się spotykaliśmy, od razu zaczynaliśmy gadać i gadaliśmy przez cały czas. Zwykle tego czasu nie było wiele, bo ona miała naprawdę masę zajęć. Przez pięć dni w tygodniu dawała po szkole

lekcje, a w soboty pracowała od dziewiątej do drugiej w szkole muzycznej, gdzie uczyła małe pędraki jakąś tam metodą Orffa. Wieczorami ćwiczyła, a w niedziele grała w zespole kameralnym i ćwiczyła, i chodziła do kościoła. Pan Field był bardzo religijnym człowiekiem. Nie. Źle powiedziałem. Był bardzo praktykującym człowiekiem. Nie wiem, czy był religijny, czy nie. Natalie była religijna, i być może pod jego wpływem, ale nie lubiła kościoła. A jednak chodziła. Długo się nad tym zastanawiała i uznała, że dla ojca jest to ważniejsze niż dla niej, więc zdecydował się podporządkować, aż do czasu opuszczenia domu. Tego typu sprawy mała przemyślane. Ogarniała ją czasem złość, że musi iść do kościoła, ale nie zaciągała się w tej swojej niechęci, tak jak ja z samochodem. Najwyżej poklęła trochę w duchu pod adresem tępawego pastora i zabierała się do tego, co miała akurat do zrobienia. Wiedziała, co jest naprawdę ważne.

Miała prawie osiemnaście lat, była starsza ode mnie. Nie miało to dla nas znaczenia, chociaż w tym wieku mógłby stanowić sporą różnicę, zwłaszcza że dziewczyny podobno szybciej dojrzewają psychicznie. Było nam po prostu dobrze ze sobą. Po raz pierwszy w życiu spotkałem kogoś, do kogo i z kim mogłem mówić. Im dłużej rozmawialiśmy, tym więcej było do powiedzenia. Przed świętami mieliśmy oboje trochę luzu, więc mogliśmy łązić i gadać, dopóki nie poszła na swoje lekcje. Wpadałem czasem do niej wieczorami, a potem zaczęły się ferie Bożego Narodzenia.

Chyba dopiero w czasie ferii połąpałem się, że ona uczy się muzyki nie po to, żeby być zawodową skrzypaczką. Grała na altówce i na skrzypcach, i na fortepianie, ale tak naprawdę to chciała zostać kompozytorką. Grała na różnych instrumentach, żeby móc zarabiać lekcjami muzyki i dostać się do konserwatorium, a potem uczyć gry lub grać w orkiestrze i z tego się utrzymywać, ale wszystko to było tylko środkiem do celu. Sporo czasu upłynęło, zanim się zorientowałem, ponieważ ona unikała rozmowy na ten temat. Nie wiem, czy zwierzała się komukolwiek, z wyjątkiem może matki. Była tak pewna siebie i tak rzeczowa w sprawach własnej gry, że z początku nie uświadamiałem sobie, że osłania w ten sposób obszar, na którym ulokowała swoje ambicje i ideały, a na którym nie czuła się ani pewna siebie, ani kompetentna, więc ciężko jej było o tym mówić. Ale to było najważniejsze w jej życiu.

- Nie ma na świecie kobiet kompozytorów - powiedziała kiedyś. Były ferie świąteczne i mogliśmy spotykać się często. Łaziliśmy tego dnia po parku. Ten park jest najfajniejszą rzeczą w naszym mieście - olbrzymi, prawie bór, z długimi, dzikimi drózkami. Wzięliśmy ze sobą psa pani Field, cudactwo imieniem Orville, żeby go trochę odchudzić. W założeniu miał to być zapewne pekińczyk, ale doprawdy trudno było się domyślić.

Padła deszcz.

- Nie ma kobiet kompozytorów? Chyba jakiś są - zaprotestowałem.

- Owszem, są - zgodziła się - ale nieliczne i niczym się nie wyróżniają, a jeśli nawet, to nie można się o tym przekonać, bo jak kobieta napisze operę, to na pewno się jej nie wystawi, a jeśli skomponuje symfonię, to na pewno nie doczeka się ona wykonania. Ale gdyby one były dobre, naprawdę dobre, to myślę, że by je grano. Po prostu nie reprezentują najwyższej klasy.

- Ale dlaczego? Swoją drogą to dziwne. W muzyce rozrywkowej jest wiele komponujących kobiet, a wśród śpiewaków wszelkiego rodzaju kobiety stanowią połowę. W końcu muzyka jest nie tyle męska, co ludzka.

- Nie wiem, dlaczego. Może kiedyś się dowiem - powiedziała z zawziętością. - Ale myślę, że to są przesady i zawracanie głowy. Jak z tą przepowiednią, o której wspomniałeś, jak jej tam?

- Przepowiednia stymulująca.

- Właśnie. Wszyscy ci mówią, że nie potrafisz, więc wierzysz. Tak było w literaturze, aż kobiety przestały w końcu zwracać na to uwagę i po prostu napisały tyle wielkich powieści, że mężczyźni wychodzili na kompletnych durniów, jeśli upierali się, że kobieta nie jest zdolna do napisania powieści. Sęk w tym, że kobieta musi reprezentować ekstra klasę, tam gdzie mężczyźni wystarczy klasa trzecia. Koszmar. To tak jak z twoimi niwelantami.

W czasie rozmów z nią rozwinąłem całą teorię tłumaczącą, dlaczego wszędzie czułem się tak bardzo obco. Dlaczego tak jest, że robi się bohaterów z ludzi, którzy wyróżniają się w sporcie albo w polityce, a żywi się taką pogardą i niechęć do tych, którzy wyróżniają się w myśleniu, chyba że ich myśli prowadzą bezpośrednio do pieniędzy albo władzy - wtedy też pasuje się ich na bohaterów. Na tę postawę wpływa prawdopodobnie antyintelektualizm, ale nie tylko; jest to ogólna tendencja do równania w dół, do poziomu, gdzie wszyscy są tacy sami, jak mrówki, i to właśnie nazwałem „niwelowaniem”, chociaż jest teraz moda nazywania tego różnymi wymyślnymi terminami w rodzaju „antyelitaryzmu”, albo jakimiś słowami ni przypiął, ni przyłatał, jak demokracja, słowami, którymi nie należy wycierać sobie ust, jeśli człowiek nie ma zamiaru się nad nimi zastanawiać.

- Męscy szowiniści niwelanci - podsunąłem.

- Aha. Właśnie - potwierdziła. Orville powrócił do nas pędem biegnąc jak cielna krowa, pomniejszona do czterdziestocentymetrowych rozmiarów, i obryzgał mi całe dżinsy błotem, po czym to samo zrobił z dżinsami Natalie.

- Jakiego rodzaju muzykę chciałabyś komponować? - zapytałem.

Usiłowała mi wytłumaczyć, ale nie potrafię tego powtórzyć, bo mówiąc szczerze, nie rozumiałem chyba połowy. Jeżeli człowiek ma mętne pojęcie, czym jest system tonalny, o nie rozumie zastrzeżeń co do teorii systemów tonalnych. A nie chciałem jej przerywać, żeby mi tłumaczyła, bo mówienie o tym nie przychodziło jej łatwo, chociaż czuła potrzebę mówienia. Mówiła o posłannictwie i humanizmie muzyki, i o muzyce mechanicznej, i dodekafonicznej i chyba nawet coś z tego docierało do mnie, ale nie znam się na tyle dobrze na muzyce współczesnej, żeby mieć pewność, że rozumiałem. Chwytałem sens o tyle, że znajdowałem wspólny mianownik ze sprawami wysuwanymi przez niektórych nowoczesnych psychologów. Czytałem u nich o identyfikowaniu się z maszyną - o ludziach patrzących na świat i na siebie samych jak na maszyny. Często występuje to u schizofreników. Żeby funkcjonować, muszą być podłączeni do źródła energii otrzymując instrukcje od Wielkiego Komputera. Kiedy o nich czytałem, przychodziły mi na myśl różne zespoły rockowe z całą ich aparaturą elektroniczną i mikrofonami, i konsolami, i plątaniną przewodów na estradzie, i salą wypełnioną ludźmi, którzy podłączają się do nich emocjonalnie, i wszystko jest uzależnione od jednego kabla z elektrowni. Kto mówi, że schizofrenicy są wariatami?

Natalie zmierzała chyba do czegoś zupełnie przeciwnego. Chciała tworzyć muzykę uniezależnioną od maszynierii, z tym że maszynierią była dla niej również wielka orkiestra symfoniczna i wielka inscenizacja operowa. Nie chodziło jej jednak o powrót do „prostoty”, do ludowego pieśniarza z cymbałami i podrabianym akcentem z Kentucky. Twierdziła, że wielka sztuka zawsze jest skomplikowana, ale jej złożoność powinna się zawierać w samej muzyce, a nie w środkach wykonawczych. Zauważyłem, że to coś jest z Einsteinem, który dokonał wszystkiego za pomocą ołówka, kawałka papieru i własnej głowy, bez akceleratora za pięćdziesiąt milionów dolarów; akceleratory są bardzo fajne, ale w gruncie rzeczy Einstein jest jeszcze fajniejszy, no i o wiele tańszy. Bardzo jej się to podobało. Zawróciliśmy i akurat wyrzało słońce, i cały mokry las zaczął lśnić jak kryształ, i poszliśmy do jej pokoju, i zagrała mi na fortepianie jeden ze swoich utworów.

Uprzedziła, że został napisany na trio smyczkowe, a nie na fortepian, więc śpiewała partię skrzypiec w odpowiednich momentach. Utwór nie wydawał mi się jakoś specjalnie skomplikowany ani specjalnie trudny; przewijała się w nim piękna, delikatna fraza, której motyw powracał również wtedy, gdy utwór stał się burzliwy. Natalie była podczas gry napięta i stremowana, i wniosła. W końcu zatrzaskała wieko fortepianu i powiedziała:

- Koniec jest do niczego. - I zaraz musiała pędzić na drugi kraniec miasta na lekcje.

Bardzo trudno jest opisać Natalie Field. Tak jak zresztą każdego. Ale kiedy spisuję z taśmy, co o niej powiedziałem, zaczynam się obawiać, że przedstawiłem ją w mojej relacji

zbyt pompatycznie. Podejrzewam, że w czasie naszych rozmów oboje byliśmy pompatyczni - przynajmniej czasami. Bo po raz pierwszy w życiu gadaliśmy o rzeczach, które były dla nas bardzo ważne, a o których nigdy dotąd nie mieliśmy z kim mówić. Więc wszystko wylewało się jakby bez cedzenia. Natalie niewątpliwie miała silną osobowość, była niezależna i bardzo stanowcza. Ale z drugiej strony - ponieważ tak dużo pracowała, a naprawdę pracowała dużo od szóstego roku życia, kiedy sama nauczyła się grać na fortepianie, tak że rodzice zostali wręcz zmuszeni do zorganizowania jej lekcji muzyki - ponieważ pracowała od tak dawna i tak ciężko w jednej dziedzinie - muzyce - była dosyć dziecinna i zielona w innych sprawach. Na przykład prawie wcale nie знаła kina. Zabrałem ją na komedię z Woody Allenem, w której jest scena z wyrzucaniem wiolonczeli przez okno, i myślałem, że się pochoruje ze śmiechu. A jak się zaśmiewała, kiedy ja się wyglupiałem. Chciała się śmiać. Potrzebowała tego. Wystarczyło, żebym zaczął naśladować małpę, a w żaden sposób nie mogła się powstrzymać. Jej ojciec był typem ponurego fundamentalisty, matka była zawsze spokojna i zrównoważona, obie jej siostry, mężatki, wyniosły się z domu, a ona pracowała i ćwiczyła, i komponowała, i marzyła o muzyce. W jej życiu nie zdarzyło się nic zabawnego, nic do śmiechu, dopóki ja się nie zjawiłem. Teraz sobie uświadamiam, że byłem jej potrzebny w tym samym stopniu, co ona mnie.

Tylko że wszystko popsułem. Bo miałem fałszywą skalę wartości.

Zanim jednak do tego doszło, był jeszcze ten dzień na plaży. Fajny dzień.

W przeddzień sylwestra przestało padać, zrobiło się chłodno, rześko, bezwietrznie. Środek zimy. Kiedy przebudziłem się rano, słońce świeciło tak, jak czasem świeci wysoko w górach, wylewając potoki światła z ciemnoniebieskiego nieba. Wiedziałem, że Natalie ma cały dzień wolny, bo niektórzy jej uczniowie rezygnowali z lekcji w okresie ferii. Zaraz więc do niej zadzwoniłem i postanowiliśmy pojechać nad morze moim nowym samochodem.

Jeśli chodzi o panią Field, nie miała nic przeciwko temu. O ile się nie mylę, uważała, że jestem OK. Pan Field, który miał, jak zauważyłem, zgoła biblijne poglądy na temat młodych mężczyzn podnoszących wzrok na jego córki, o tej porze był w biurze; pracował jako przedsiębiorca budowlany i przed szóstą nie wracał do domu. Przed tą godziną mieliśmy być już z powrotem, a czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Z moimi rodzicami wszystko grało. Wiedzieli tylko, że jadę z przyjacielem nad morze. Mama była uszczęśliwiona, że mam przyjaciela, jakiegokolwiek, a tata był wniebowzięty, że korzystam z samochodu w jakikolwiek sposób. Tak więc wszyscy byli zadowoleni i o dziewiątej wyruszyliśmy w drogę z torbą pełną wiktuałów, które przygotowała Natalie.

Do wybrzeża jest około dziewięćdziesięciu mil i stamtąd jeszcze dziesięć mil na

południe do Jade Beach, dokąd miałem zamiar dojechać. Jest to zatka położona między dwoma wielkimi cyplami, osłonięta od wiatru i nie zatłoczona nawet latem. Zimą jest tam zupełnie pusto.

Miejscami na szosie za Coast Range leżał śnieg, więc prowadziłem zupełnie wolno i dojechaliliśmy na miejsce koło południa. Niebo było niesamowicie błękitne, bez jednej chmurki; Pacyfik by granatowy z wysokimi białymi grzywami pędzącymi do brzegu. Było zimno, ale w dole na plaży czuło się jedynie powiew, który przynosiły fale. Bryzgi siekły nas niczym drobnutki kryształki soli. Kiedy się człowiek ruszał, można było nawet zdjąć płaszcz. Tak też zrobiliśmy. Brodziliśmy długo w tę i z powrotem wśród niskich fal oddalaliśmy się coraz bardziej od brzegu. Woda była jak lód, ale kiedy minął pierwszy skurcz, robiło się przyjemnie. Wkrótce zamoczyłem się od stóp do głów. Natalie był mokra od pasa w dół. Wróciliśmy do suchego grajdołka koło wielkiej kłody wyrzuconej na brzeg przez fale i rozpaliliśmy ognisko, żeby się wysuszyć przy ogniu i zjeść lunch. Pochłonęliśmy furę zarcie. Niesamowite ilości po prostu. Natalie miała hojną rękę przy pakowaniu prowiantu. Nie wiem, ile był kanapek, kiedy zaczynaliśmy, wiem tylko, że przy końcu nie została ani jedna, a ja ponadto zjadłem trzy banany, pomarańczę i dwa jabłka. Pewno nie zjadłbym tylu bananów, ale stały się one powodem zdrowego śmiechu i niewinnej uciechy. Słowo daję, nie wiem, dlaczego taką osobę jak Natalie tak śmieszyło, kiedy udawałem małpę. Jak wiadomi, nieklamana uznanie jest bodźcem dla talentu, więc za pomocą bananowych rekwizytów pokaz małpich wyczynów sięgnął tego popołudnia wyżyn.

Później łaziliśmy trochę po skałach, rzucaliśmy kamienie do wody i zbudowaliśmy zamek z piasku. Potem wróciliśmy na poprzednie miejsce, rozpaliliśmy ognisko, bo zaczęło się robić zimno, i patrzyliśmy, jak przypływ podchodzi coraz bliżej naszego piaskowego zamku, i gadaliśmy. Nie roztrząsaliśmy teoretycznych problemów ani nie mówiliśmy o rodzicach, ani o samochodach, ani o naszych planach. Mówiliśmy o życiu. Doszliśmy do wniosku, że nie ma sensu szukać odpowiedzi na pytanie o sens życia, bo życie nie jest odpowiedzią, życie jest pytaniem, a ty, właśnie ty, stanowisz odpowiedź. A obok, czterdzieści stóp od nas, było morze, które ciągle się przybliżało, i niebo nad morzem, i słońce zachodzące na niebie. I było zimno, i był to najdonioślejszy moment w moim życiu.

Przeżywałem już podniosłe chwile dawniej. Kiedyś nocą, kiedy szedłem przez park w jesiennym deszczu. Kiedyś na pustyni pod gwiazdami, kiedy stopiłem się z ziemią obracającą się wokół osi. Czasem, kiedy wnikałem myślą w sedno jakiejś sprawy. Ale zawsze sam. Byłem na wysokiej górze z przyjacielem. Nic, ale to nic nie da się z tym porównać. Nawet jeśli już nigdy więcej to mi się w życiu nie zdarzy, zawsze będę mógł powiedzieć, że raz tam

byłem.

Gadaliśmy przysypując piasek między palcami, żeby natrafić na kawałek nefrytu i agatu. Natalie znalazła czarny kamyk, płaski, idealnie owalny i wypolerowany przez piasek. Ja znalazłem agat w kształcie soczewki, biały z żółtym, słońce przeświecało przez niego na wskroś. Dała mi swój czarny kamyk, a ja jej agat.

W drodze powrotnej do domu usnęła w samochodzie. Fajne to było. Jak łagodne schodzenie z wysokiej góry w zachodzącym słońcu. Prowadziłem pewnie, spokojnie i ostrożnie.

Było już nieźle po siódmej, kiedy dobiliśmy do domu. Szybko nam zleciał czas na plaży. Wyszła z samochodu, w dalszym ciągu senne i oszołomiona wiatrem, i powiedziała:

- Cudownie było, Owen - i uśmiechając się weszła do swojego domu.

Na Nowy Rok państwo Field wyjechali, więc zobaczyłem się z Natalie pierwszego dnia po feriach. Czekaliśmy razem na autobus. Kiedy tak podpieraliśmy słupek, spytałem, czy nie miała jakichś przykrości od ojca z powodu tamtego spóźnienia. Powiedziała: „A, co tam”. I gadaliśmy o książce Ornsteina. Interesowała się jego wywodami na temat niemej półkuli mózgowej, gdzie znajduje się ośrodek muzyki.

Gdybym chciał winić kogokolwiek, poza samym sobą, za to, że sprawy wzięły zły obrót, to chyba obwiniałbym ojca Natalie.

Kiedy powiedziała „A, co tam”, oczywiście oznaczało to, że musiał truć, a ona nie chciała o tym mówić, wołała to zignorować albo zapomnieć. Ale swoją drogą, czego się czepiał? Dziewczyna jedzie na d morze, zjada lunch, znajduje agat i wraca do domu. Co jest w tym złego? Czy to grzech? O co mu chodziło?

Nie miałem żadnej wątpliwości o co.

I nie miało dla niego najmniejszego znaczenia, że nam o to nie chodziło. Wiadomo, jaka jest młodzież. Tylko jedno jej w głowie.

Tak jest, OK, zgoda, obsesje pana Fielda nie zepsuły mnie. Nawet nie przyszłyby mi na myśl, gdyby nie był zepsuty już wcześniej. Jakie to fajne słówko „zepsuć”, prawda? Mój słownik podaje, że oznacza to „wytrącić ze stanu funkcjonowania”. Dokładnie to mam na myśli. Rzeczywiście. Mój umysł został wytrącony ze stanu funkcjonowania.

Cała rzecz w tym, że masa ludzi powtarza i masa książek, i filmów, i reklam, i wszyscy ci rozmaici specjaliści od seksu obojętne, czy traktują go naukowo, czy dochodowo, i naukowcy twierdzą, że wszystko sprowadza się do jednego. Mężczyzna plus kobieta równa

się seks. Nic więcej. Żadnych niewiadomych w tym równaniu. Komu są potrzebne niewiadome?

Szczególnie kiedy człowiek nie ma doświadczeń w tym zakresie i to jest dla niego niewiadomą, a tym czasem wszyscy powtarzają, że jest to jedyna rzecz naprawdę ważna, nic się poza tym nie liczy, więc, jeżeli w tych sprawach człowiek ciągle nic, to znaczy że jest albo impotentem, albo jest oziębły i najprawdopodobniej po roku dorobi się raka.

Więc zacząłem się zastanawiać nad swoim postępowaniem. Bo spotykam się ciągle z dziewczyną, spędzam z nią cały dzień na plaży i ktoś pyta: „No, stary, i co było dalej?”, a ja mówię: „Dała mi czarny kamyk, a ja jej dałem agat”. Ale numer!

Tak więc zacząłem myśleć, co inni by pomyśleli, a nie co sam myślałem.

To trudno wyjaśnić, bo jednak w tym wszystkim kryło się coś więcej. Oczywiście, że coś więcej. Przebywanie z dziewczyną, z kobietą, a Natalie jest kobietą, to rzecz podniecająca. To brzmi głupio i można sobie z tego kpić, jak kto ma ochotę, ale to jest właściwe słowo.

Podniecająca fizycznie i psychicznie, i duchowo.

I ja wtedy myślałem, bo twierdzą tak wszyscy, łącznie z Freudem, że to właśnie jest miłość. Wszyscy oni powtarzają, że nic poza seksem nie istnieje, tylko człowiek, jeśli jest trochę bardziej cywilizowany od goryla, używa na jego określenie słowa miłość. Stosunek to nie jest to, co człowiek robi, kiedy kocha, lecz mówi „kocham”, kiedy chce mieć stosunek. Zwróćcie tylko uwagę na reklamy pasty do zębów albo papierosów i na filmy porno, i filmy o sztuce, i piosenki pop albo spójrzcie na pana Fielda. Człowieku, tylko jedna rzecz się tutaj liczy. Tylko jedna.

Więc nasze następne spotkanie było zupełnie inne. Uznałem, że kocham się w Natalie. Nie zakochałem się w niej, zauważcie z łaski swojej, tego nie powiedziałem, nie ja uznałem, że się w niej kocham.

Dla ludzi piszących o mózgu i umysłowości, dla tych, którzy interesują się bardziej różnicami między częścią czołową mózgu a tylną niż różnicami między lewą a prawą półkulą, byłby to przejaw funkcjonowania płatów przednich, wyłącznie, z pełnym wyeliminowaniem biednych płatów tylnych. Oto do jakich odchyleń zdolni są intelektualiści. Przynajmniej intelektualiści dla ubogich, niepozberani jak ja.

Początkowo wszystko było w porządku, bo oblatywał mnie strach. Kiedy nie przebywałem z Natalie, cały czas trenowałem stan zakochania. Ale kiedy byłem z nią razem, zapomniałem o całej sprawie i gadaliśmy jak najęci tak samo jak przedtem.

Wracaliśmy ciągle do naszych planów, co chyba jest normalne u uczniów najstarszej

klasy pod koniec roku. Jej plany były jasno sprecyzowane. Latem wybiera się do Tanglewood, głównie po to, żeby nawiązać kontakty z ludźmi ze wschodnich stanów, zawodowymi muzykami, którzy mogliby jej pomóc, a ponadto żeby poznać młodych - konkurencję - jak mówiła; namiętnie pożądała konkurencji, możliwości zmierzenia się z innymi. Jesienią miała wrócić do domu i podjąć pracę na całym etacie w szkole muzycznej, i jednocześnie dawać prywatne lekcje, żeby zarobić trochę forsy, a przy tym miała zamiar ciągle ćwiczyć i komponować, i chodzić na Uniwersytet Stanowy na wyższy kurs teorii harmonii. Mówiła, że jest tam jeden gość, z którym już kiedyś trochę pracowała na kursach wakacyjnych zeszłego roku, a od którego mogłaby się nauczyć paru rzeczy. Potem chciała zdawać do konserwatorium w Nowym Jorku i utrzymując się z pieniędzy zarobionych przedtem i ze stypendium studiować pod kierunkiem kilku kompozytorów „tak długo, jak długo to będzie miało sens” - powiedziała. Dokładnie z tych samych pobudek, chciałem zdawać na MIT. Był tam jeden gość, który zajmuje się, powiedzmy, fizjologią psychiki, czyli właśnie tym, co mnie pasjonuje.

Przeprowadziliśmy ze sobą kilka doprawdy dziwnych rozmów, kiedy ona usiłowała mi tłumaczyć, co chcieli osiągnąć tamci kompozytorzy, a potem ja jej, czym jest świadomość. zadziwiające, jak często w dwóch różnych dziedzinach można odkryć wspólną płaszczyznę i odnaleźć pokrewieństwo. To mi się właśnie cholernie podoba.

W kwietniu Orkiestra Miejska dawała koncert w jednym z wiejskich kościołów i w programie były przewidziane trzy pieśni Natalie. Zastrzegła się, że nie było w tym nic nadzwyczajnego, po prostu знаła dyrygenta i grywała u niego w pierwszych skrzypcach, kiedy był mu potrzebny muzyk z prawdziwego zdarzenia, żeby utrzymać w korbach jego domorosłych grajków; niemniej jednak było to pierwsze publiczne wykonanie jej utworów. Twierdziła, że komponowanie jest najgorszym rodzajem działalności artystycznej, ponieważ sukces zależy tu w dziewięciu dziesiątych od znajomości. Trzeba znać odpowiednich ludzi, bo jak nie, to utwory nigdy nie doczekają się wykonania. Patrzyła trzeźwo na te sprawy i utrzymywała, że nie ma zamiaru iść w ślady Charlesa Ivesa. Ives właściwie ani razu nie słyszał skomponowanej przez siebie muzyki, po prostu pisał i wrzucał to do szuflady, a zarabiał na życie jako agent ubezpieczeniowy czy coś w tym rodzaju. Dla niej taka postawa było nie do przyjęcia. Uważała, że doprowadzanie do wykonania własnej muzyki jest jednym z zadań kompozytora. Nie była jednak zbyt konsekwentna, bo jej dwoma bożyszczami byli Schubert, który większości swoich wielkich dzieł nigdy nie słyszał, i Emily Brontë, która w gruncie rzeczy do końca życia nie wybaczyła swojej siostrze Charlotte nie tylko tego, że tamta opublikowała jej poezje, ale nawet tego, że je w ogóle przeczytała. Te trzy pieśni, które

miały być wykonane w kwietniu, zostały skomponowane do wierszy Emily Brontë.

Wichrowe Wzgórza były ulubioną książką Natalie; bardzo dużo wiedziała o rodzinie Brontë, o tych czworgu genialnych dzieciach, które mieszkały na wiejskiej plebanii, na wrzosowiskach, w środku pustkowia, w Anglii, sto pięćdziesiąt lat temu. I co tu gadać o własnej samotności! Po przeczytaniu ich biografii, którą mi pożyczyła Natalie, uświadomiłem sobie, że być może miałem prawo czuć się samotny, ale w porównaniu z tamtą czwórką moje życie było istną orgią towarzyskich okazji. Rzecz przerażająca, że to właśnie chłopak, jedyny syn, nie wytrzymał i załamał się szukając ucieczki w narkotykach i alkoholu; wpadł w nałóg i to go zgubiło. A spodziewano się po nim najwięcej, właśnie dlatego, że był chłopakiem. Tymczasem dziewczyny, po których nikt się niczego nie spodziewał, ponieważ były tylko dziewczynami, robiły swoje i napisały *Dziwne losy Jane Eyre* i *Wichrowe Wzgórza*. To daje człowiekowi do myślenia. Może jednak nie jest najgorzej, że moi rodzice oczekują ode mnie mniej, niż chcę z siebie dać. I może nie jest takim bezdyskusyjnym szczęściem urodzić się mężczyzną.

Te dziewczuchy Brontów przez lat całe pisały opowieści i poematy o krajach, które sobie wymyśliły. Razem z mapami, wojnami i najrozmaitszymi przygodami, i tak dalej. Charlotte i Branwell mieli „Angrię”, a Emily i Anna miały „Gondal”. Kiedy Emily dowiedziała się, że umrze na gruźlicę, spaliła wszystkie swoje opowieści o Gondalu, a wiersze wybroniła od spalenia Charlotte. Wszystkie siostry przez lata całe uczyły się, jak należy pisać, doskonaliły tę sztukę wymyślając zawiłe, tasiemcowe opowieści o nie istniejących krainach. Byłem zaskoczony, bo sam między dwunastym, a szesnastym rokiem życia robiłem coś podobnego, tylko że nie miałem siostry, której mógłbym to pokazać.

Moja kraina nazywała się Thorn. Rysowałem mapy tego kraju i tak dalej, ale opowiadań o niej raczej nie pisałem. Za to charakteryzowałem florę i faunę, i krajobraz, i miasta, i wymyśliłem gospodarkę i tryb życia mieszkańców, ich system rządów i historię. Kiedy miałem dwanaście lat, kraj był królestwem, ale kiedy doszedłem do piętnastu, szesnastu, przyjął bliżej nie określony ustrój socjalistyczny i musiałem opracować szczegółową historię przechodzenie do autokracji do socjalizmu oraz stosunek do innych narodów. Mój kraj nie utrzymywał kontaktów z Rosją ani Stanami Zjednoczonymi, ani z Chinami, miał jedynie powiązania handlowe ze Szwajcarią, Szwecją i republiką San Marino. Thorn był maleńkim krajem, leżącym na jednej z wysp południowego Atlantyku; miał zaledwie sześćdziesiąt mil od jednego krańca do drugiego i zewsząd było do niego bardzo daleko. Na Thornie bezustannie wiał wiatr. Wybrzeże było strome i skaliste. Statki żaglowe bardzo rzadko mogły tam zawijać. Grecy czy Fenicjanie natknęli się kiedyś na ten ląd, co dało

początek mitom o Atlantydzie, ale powtórne odkrycie nastąpiło dopiero w roku 1810 i aż do współczesnych czasów celowo nie budowano tam żadnego portu dla dużych statków ani żadnego lądowiska samolotów. Szczęśliwie kraj był na tyle mały i biedny, że żadne z wielkich mocarstw nie pokusiło się, by go włączyć w strefę swoich wpływów i przekształcić w bazę wyrzutni raketowych. Zostawiono go w spokoju. W ciągu czterech lat wiele czasu spędzałem na Thornie, ale od roku ani razu tam nie byłem. Wydawała mi się czymś przebrzmiałym, dziecinadą. A jednak nadal, kiedy przypadkowo o nim pomyślałem, stawały mi przed oczyma strome skały nad morzem i czułem wiatr wiejący nad rozległymi pastwiskami dla owiec, widziałam Miasto Pustynne na południowym wybrzeżu, moje ulubione miasto. Zbudowane z granitu i drzewa cedrowego, spoglądające ponad surowymi skałami na Antarktydę i Biegun Południowy. Wygrzebałem jakieś fragmenty historii państwa Thorn i pokazałem je Natalie. Naprawdę jej się to podobało.

- Mogłabym napisać dla nich muzykę. Nie wspomniałem nic, jaką mają muzykę.

- Mają tylko instrumenty dęte - powiedziałem dla wygłupu.

- OK - odparła - kwintet dęty. Bez klarnetów. Klarnety byłyby zbyt mdłe jak na Thorn. Flet, obój, fagot... róg? Może rożek angielski? Puzon? Oczywiście, powinni mieć puzony. - Wcale nie żartowała. Naprawdę napisała dla Thornu utwór na kwintet dęty.

Zaraziła mnie swoją determinacją co do własnej przyszłości. To się udzielało. Zacząłem zastanawiać się poważnie, bo bym robił, gdyby to ode mnie zależało. Czy lepiej byłoby zacząć od medycyny, czy od biologii i tą drogą dotrzeć do punktu, w którym biologia styka się z psychologią, czy też od razu zająć się psychologią? Fascynowały mnie wszystkie te dziedziny. Były ze sobą powiązane, ale nie można studiować wszystkich naraz, nic by z tego nie wyszło. Pytanie więc od czego zacząć. Gdzie położyć solidne fundamenty wiedzy, na których można by rozwijać własne koncepcje? Nie była to specjalnie skromna ambicja, ale nauczyłem się od Natalie, że można mieć nawet bardzo nieskromne ambicje, jeśli się systematycznie dąży do ich spełnienia.

Fantastycznie nam się gadało o naszych planach na przyszłość, o muzyce, o nauce, o Thornie i o Gondalu. Czasem Natalie grała mi nowy fragment thornańskiego kwintetu. Miała starą trąbkę, którą kupiła sobie kiedyś na wyprzedaży staroci, i dęła w nią, aż jej policzki czerwieniały i oczy wyłaziły z orbit, żebym uchwycił motyw. Kiedyś w szóstej klasie grałem na trąbce w orkiestrze szkolnej i na tym moja kariera muzyczna się urwała, ale teraz grałem mniej więcej równie pięknie jak Natalie. Szaleliśmy z tą trąbką i staraliśmy się wydobyć z niej wszelkie możliwe piski, ćwierkania i pierdnięcia, a mnie prawie udało się wykonać coś w rodzaju „Pamiętasz, Capri”. Kiedyś odwozłem Natalie na sobotnie zajęcia do szkoły

muzycznej i sterczałem tam, przyglądając się, jak szkoli dzieciaki metodą Orffa, i to też było fantastyczne. Każde z nich miało ksylofon albo dzwonek, albo drewniane klocki i kiedy wszystkie akcesoria zostały wprowadzone w ruch przez czternaścioro sześciolatków, robił się sądny dzień. Natalie dowodziła, że w ten sposób poznają teorię muzyki. Moim zdaniem one miały z tego niezłą uciechę i ewentualnie poważne upośledzenie słuchu, jeśli ta zabawa miała trwać dłużej. W powrotnej drodze wstąpiliśmy na koktajl i frytki i poszliśmy do niej do domu, i tam był jej ojciec.

Właściwie nie powiedział mi „dzień dobry”. Powiedział „dzień dobry” jej, a na mnie popatrzył.

Zrobiłem się czerwony i na twarzy wypełził mi uśmiech, który miałem ochotę zadeptać... I przypomniałem sobie, że kocham się w Natalie. No i nie byłem w stanie nic powiedzieć ani do niego, ani do niej. Zachowywałem się sztywno i nienaturalnie i bardzo szybko wróciłem do siebie, gdzie kochać się w niej było o wiele łatwiej i wygodniej.

W ciągu następnych dwóch tygodni widziałem się z Natalie tylko trzy czy cztery razy. I było to już nie takie miłe. Bez przerwy zastanawiałem się, czy one kiedyś miała chłopaka i jakie miejsce zajmowali w jej planach mężczyźni, i co o mnie myślał, jeśli chodzi o te sprawy, a nie miałem odwagi jej zapytać o żadną z tych rzeczy. Najbliżej tego tematu znalazłem się pewnego razu, kiedy znowu spacerowaliśmy po parku, żeby odchudzić Orvilla. Powiedziałem wtedy:

- Czy uważasz, że można pogodzić miłość z karierą? - To pytanie zawisło niczym wisielec. Zabrzmiało dosłownie, jakby było żywcem wzięte z magazynu dla pań domu.

- No chyba, że można - odpowiedziała i spojrzała na mnie jakoś szczególnie. Wtedy akurat Orville spotkał na ścieżce pewnego doga, którego zapragnął zabić i pożreć. Po opanowaniu sytuacji nie wróciliśmy już do głupiego pytania. Ale ja ciągle byłem jakiś uroczysty i zadumany. Już blisko domu Natalie spytała z nutą smutku:

- Dlaczego nigdy teraz nie udajesz małpy?

Dotknęło mnie to. Dotknęło do żywego. W fatalnym nastroju wróciłem do domu. No ba ja marzę o tym, żeby wziąć dziewczynę w ramiona, całować i mówić „kocham cię”, a tymczasem ona spodziewa się po mnie małpich popisów ze skórką od banana i wyszukiwaniem pcheł.

Z trudem odzyskałem równowagę. Miałem do niej żal, że jest taka przyjacielska i prozaiczna. Z premedytacją rozpamiętywałem, jak wyglądały jej włosy zaraz po umyciu, kiedy spływały w miękkich, lśniących pasmach, i jak gładka była jej skóra, bardzo biała i delikatna. I niebawem udało mi się przeobrazić ją w postać, o jaką mi chodziło - tajemniczej

kobiety, okrutnej piękności, nieosiągalnej a pożądanej bogini, czy jak to się nazywa. W efekcie zamiast być moim pierwszym, najlepszym i jedynym, prawdziwym przyjacielem, stawała się kimś, kogo jednocześnie pragnąłem i nienawidziłem.

W lutym znowu pojechaliśmy na wybrzeże.

Tak już jest, że w tygodniu, kiedy wypada rocznica urodzin Waszyngtona, pogoda robi się fantastyczna. Przestaje padać. Zaczyna przygrzewać słońce. Pierwsze listki wyłazą z pączków i zakwitają wczesne kwiaty. Jest to pierwszy tydzień wiosny - chyba najprzyjemniejszy, ponieważ jest pierwszy i ponieważ jest krótki.

Na ten tydzień zawsze można liczyć, więc z góry go sobie zaplanowałem. Namówiłem ją, żeby poprosiła kogoś o zastępstwo w szkole muzycznej i przełożyła prywatne lekcje, abyśmy mogli w sobotę pojechać na Jade Beach. I nic mnie nie obchodzi, że jej ojciec będzie przytruwał. Musi go jakoś ustawić. Jesteśmy dorośli i musi się nauczyć obywać bez jego zgody na wszystko. Miałem jej to wszystko wygarnąć, gdyby napomknęła o swoim ojcu, lecz ona tego nie zrobiła.

Nie zdradziła specjalnego entuzjazmu dla tej wycieczki, ale mam wrażenie, że wyczuła, jak mi na tym zależy, i zgodziła się ze względu na mnie, z przyjaźni.

Kiedy koło jedenastej dotarliśmy do plaży, był akurat odpływa i kilka osób szukało krabów. Tym razem mieliśmy szorty pod džinsami i tak jak wtedy łąziliśmy po wodzi, ale teraz było jakoś inaczej. Nisko nad plażą unosiła się mgła, ani gęsta, ani zimna, po prostu lekkie zmętnienie, jakby powietrze zrobione było z masy perłowej. I fale były spokojne, i rozбивały się wolno jedna za drugą długimi niebieskozielonymi liniami grzbietów, regularne, senne, hipnotyczne. Nie chodziliśmy razem, każde włączyło się na własną rękę brodząc w falach. Zobaczyłem, że Natalie znalazła się daleko ode mnie i szła powoli w pianie, wzbijając bryzgi. Szła trochę przygarbiona, z rękami w kieszeniach, i wydawała się bardzo małeńka i krucha na tle zamglonej plaży i zamglonego oceanu.

Kiedy rozpoczął się przypływ, zbieracze krabów odeszli. Mniej więcej w godzinę potem Natalie wróciła z wędrówki. Włosy miała zmierzwione, w strąkach, i bez przerwy kichała. Pod wpływem morskiego powietrza ciekło jej z nosa, a nie mieliśmy ze sobą chusteczek. Wydawała się bardzo spokojna i daleka - przypominała tym matkę. Znalazła różne kamyki, ale przeważnie takie, które są ładna na mokro, a robią się całkiem zwyczajne po wyschnięciu.

- Chodźmy zjeść - powiedziała - jestem głodna jak wilk.

Z drzewa wyrzuconego na brzeg rozpalilem ognisko w tym samym miejscu co przedtem, w zagłębieniu osłoniętym od wiatru wielką kłodą. Usiadła tuż przy ogniu. Ja

usiadłem koło niej. Objąłem ją ramieniem. I wówczas serce zaczęło mi walić w niesamowity sposób i straciłem głowę, i pociemniało mi w oczach, i przycisnąłem ją z całej siły, i pocałowałem. Całowaliśmy się, a ja zupełnie nie mogłem złapać tchu. Nie miałem zamiaru tak jej ścisnąć; chciałem ją całować i powiedzieć „kocham cię”, i mówić o tym, mówić o miłości, i to wszystko. Nie myślałem o niczym więcej. Nie przewidziałem, co się ze mną stanie - że będzie to tak, jakby mnie na głębokiej wodzie uderzyła potężna fala, przewróciła i pociągnęła w dół, a ja nie mogłem płynąć ani oddychać, ani zrobić nic, dosłownie nic. Wiedziała, kiedy fala we mnie uderzyła, chyba ją też ogarnął popłoch, ale jej ta fala nie zbiła z nóg. Dlatego że po chwili wyrwała się i odepchnęła mnie. Ale w dalszym ciągu trzymała mnie za rękę, bo wiedziała, że tonę.

- Owen - powiedziała - słuchaj, Owen, kochanie, daj spokój.

Bo ja szlochałem. Nie wiem, czy to był płacz, czy dlatego, że nie mogłem złapać tchu. Powoli wynurzyłem się. Ciągle byłem zbyt wstrząśnięty, żeby czuć wstyd czy zażenowanie, wziąłem jej drugą rękę i tak klęczeliśmy twarzami do siebie:

- Natalie, dlaczego nie, przecież nie jesteśmy dziećmi, czy ty nie...

Powiedziała:

- Nie, Owen, jak nie. Kocham cię. To nie jest w porządku.

Nie chodziło jej o porządek moralny. Raczej o coś takiego, jak gdy w muzyce czy w myśleniu odnajduje się wywnętrzony porządek, ład, samą prawdę. Może zresztą porządek moralny na tym samym polega. Nie wiem.

To ona powiedziała „kocham cię”. Nie ja. Ja jej tego ani razu nie powiedziałem.

Powtórzyłem to samo co przedtem zacinając się - nie mogłem przestać - i przyciągnąłem ją do siebie. Nagle w jej oczach pojawił się gniewny błysk, wyrwała się i wstała.

- Nie! - powiedział. - Nie będę się w coś takiego z tobą ładowała. Myślałam, że nam się uda, ale jednak nie, to nie. Mówi się trudno. Jeżeli to, co jest między nami, ci nie wystarcza, to sobie daruj. Bo to jest wszystko, co mamy. I ty o tym wiesz! I to jest bardzo dużo! Ale jeśli ci nie wystarcza, mówi się trudno. Daruj sobie! - I odwróciła się, zapłakana, i poszła brzegiem morza.

Siedziałem bez ruchu bardzo długo. Ognisko zgasło. Podniosłem się i przeszedłem plażą nad samym brzegiem, aż zobaczył ją siedzącą na skale nad rozlewiskiem u podnóża północnych skał. Nos miała cały czerwony, a pokryte gęsią skórka nogi wydawały się bardzo białe i szczupłe na tle chropowatego odrostów masywu skał.

- Tam siedzi krab - odezwała się - pod tym dużym ukwiałem.

Przez chwilę patrzyliśmy w wodę, rozlewiska. Powiedziałem:

- Musisz być wściekle głodna, tak jak ja - i wróciliśmy pienistym brzegiem, tuż przy granicy fal, i rozpaliliśmy, ognisko, i naciągnęliśmy dzinsy, i zjedliśmy lunch. Niezbyt dużo tym razem. Nie rozmawialiśmy. Żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć. Przez głowę przelatywało mi dziesięć tysięcy myśli, ale nie mogłem wypowiedzieć żadnej.

Zaraz po lunchu wyruszyliśmy w powrotną drogę.

Gdzieś w okolicach wierzchołka Coast Range przypomniała mi się jedna rzecz, którą, jak sądziłem, należało powiedzieć, i powiedziałem ją:

- Wiesz, u mężczyzn to wygląda inaczej.

- Naprawdę? - spytała. - Może. Nie wiem. Ty musisz zdecydować.

Wtedy gniew mnie porwał i warknąłem:

- O czym zdecydować? Przecież ty już zdecydowałaś.

Spojrzała na mnie szybko. Wydawała się daleka ode mnie. Nic nie odpowiedziała.

Nie panowałem już nad gniewem i wyrzuciłem z siebie drwiącym tonem:

- Przypuszczam, że zawsze pozostaje to przywilejem kobiety, nie uważasz?

- Ludzie podejmują najważniejsze decyzje wspólnie - powiedziała. Jej głos był o wiele niższy i węższy niż zwykle. Zaczęła mrugać oczami i odwróciła głowę, jakby podziwiała krajobraz.

Prowadziłem patrząc tylko na drogę. Przejechaliśmy siedemdziesiąt mil bez słowa. Przed domem powiedziała:

- Do widzenia, Owen - tym samym wątlwym głosem, wysiała i weszła do domu.

To pamiętam. Ale nic z tego, co zdarzyło się potem. Nic, aż do najbliższego wtorku.

Nazywa się to amnezja urazowa i zdarza się stosunkowo często w następstwie nieszczęśliwych wypadków, ciężkich uszkodzeń ciała, porodu i tak dalej. Nie potrafię więc powiedzieć, co robiłem. Domyślam się tylko, że, ponieważ byłem kompletnie rozstrojony i ponieważ było dopiero około w pół do piątej, nie chciało mi się wracać do domu, więc zacząłem po prostu jeździć, żeby być sam i pomyśleć.

Na wschód od miast znajduje się ostry zjazd między jednym a drugim podmiejskim osiedlem. Nie wiem, dlaczego tam się znalazłem, przypuszczam, że jechałem po prostu pierwszą lepszą szosą - w każdym razie niewątpliwie zbyt szybko wzięłem zakręt jak na taki spadek.

Ktoś jadąc za mną zobaczył, jak samochód wypada poza barierkę i przewraca się do góry kołami i wezwał pomoc. Karetka i tak dalej, bo straciłem przytomność. Wstrząs mózgu, poza tym złamanie z przemieszczeniem barku i masa naprawdę paskudnych siniaków, które

przybrały kolor zielony. Wszyscy twierdzi, że miałem szczęście, bo samochód nadawał się do kasacji.

Przytomność odzyskałem w drodze do szpitala, a następnego dnia mogłem wrócić do domu.

Z pobytu w szpitalu nie zapamiętałem nic, poza tym, że siedziała przy mnie mama, która powiedziała, że Jason dzwonił dwa razy i że była u nas Natalie Field.

- Jak to miłą dziewczyna - dodała mama. To co mówiła, wydawało się zupełnie naturalne, ale absolutnie mnie nie obchodziło. Mgła odizolowała mnie tak szczelnie, że nie wiedziałem, czy poza nią cokolwiek czy ktokolwiek istnieje. Wszystko stało się nieważne. Oczywiście było to wynikiem wstrząsu. Ale nie tylko.

Mój ojciec ciężko przeżył tę sprawę. Najpierw obcy głos w słuchawce, który mówił: „Pański syn znajduje się w naszym szpitalu w stanie ciężkiego wstrząsu, prawdopodobnie z uszkodzeniem mózgu” - to naprawdę może człowieka załatwić, zwłaszcza w sobotnie popołudnie w środku meczu piłki nożnej w TV. Potem przychodzi ulga i uczucie wdzięczności, kiedy chłopak wraca do siebie. Potem trzeba zapłacić za ściągnięcie wraka. I okazuje się, że z samochodu niewiele pozostało. A tu żona mówi: „Kto by się przejmował samochodem, ważne, że Owen wyszedł cało”, i wybuchą płaczem. On się przejmuje samochodem, ale po tym wszystkim nie może się do tego przyznać, nawet przed samym sobą. I nie może się przyznać, jak straszliwie upokarza go fakt, że jego syn nie potrafi nawet wziąć zakrętu, żeby się nie wysypać. Ma teraz być wdzięczny temu synowi, że się nie zabił. I jest wdzięczny. Tylko że są chwile, kiedy ma ochotę własnoręcznie go zamordować. Wtedy przychodzi do niego i mówi, żeby się nie martwił, samochód był całkowicie ubezpieczony, nie ma problemu. Żeby się nie martwił. Tylko że polisa ubezpieczeniowa po tym wypadku będzie piekielnie droga, więc może byłoby lepiej poczekać z kupnem nowego wozu. A syn leży i mówi:

- Dobra, nie ma sprawy.

Przez parę tygodni musiałem siedzieć w domu, bo doktor powiedział, że dopóki nie ustąpią pewne zaburzenia wzroku, tak będzie rozsądniej. Bardzo było nudno bo nie mogłem nawet czytać ponieważ widziałem podwójnie, ale nic mnie to nie obchodziło. Nie chciało i się czytać.

Natalie przyszła raz po wypadku, zdaje się w piątek. Mama weszła na górę, a ja powiedziałem, że nie chcę nikogo widzieć. Nie przyszła już więcej. Jason i Mike wpadli podczas weekendu, posiedzieli, poopowiadali kawały. Byli rozczarowani, że nic im nie mogłem opowiedzieć o kraksie.

Po powrocie do szkoły unikanie Natalie nie przedstawiało żadnych trudności. W gruncie rzeczy nigdy nie było łatwo jej spotkać, bo dzień zawsze miała szczelnie wypełniony. Jedyne, czego musiałem przestrzegać, to przychodzić późno na lunch i nie być na przystanku autobusowym o drugiej trzydzieści i tym sposobem nigdy jej nie widywałem.

Powinienem wyjaśnić, dlaczego tak robiłem, dlaczego nie chciałem się z nią widywać, ale nie potrafię. Sądzę, że częściowo jest to oczywiste. Było mi wstyd czułem się urażony i zawiedziony i tak dalej. Ale to są wszystko racje rozumowe i uczuciowe, a ja absolutnie nie kierowałem się wtedy ani rozumem, ani uczuciem. Po prostu niewiele co mnie obchodziło. Najważniejsze było, aby uniknąć bólu.

Nawiązanie kontaktu nie miało sensu. Byłem sam. Zawsze byłem sam. Przez pewien czas w jej obecności udawałem, że nie jestem, ale byłem i koniec końców udowodniłem to nawet jej, zmusiłem ją, żeby odwróciła się ode mnie, jak wszyscy inni. Ale i to właściwie nie miało znaczenia. Skoro jestem skazany na samotność, w porządku, lepiej to zaakceptować i nie udawać. Jestem po prostu takim typem, który nie pasuje do naszego społeczeństwa. Głupotą byłoby oczekiwać, że ktoś mnie polubi. Za co mieliby mnie lubić? Za mój wspaniały mózg? Za wspaniały, wybitny mózg po wstrząsie? Nikt nie lubi mózgow. Mózgi są obrzydliwe. Niektórzy lubią je przysmażone na maselku, ale tacy amatorzy wśród Amerykanów trafiają się rzadko.

Jedynie na Thornie było dla mnie miejsce. Thorn nie miał rozbudowanego rządu, a potocznym znaczeniu, ale istniały tam pewne organizacje, do których ludzie mogli należeć, jeśli mieli ochotę; jedna z nich nazywała się Wszechnica. Zbudowana została wysoko na zboczu jednej z najwyższych gór, daleko poza miastem. Posiadała olbrzymią bibliotekę i laboratoria, i podstawowe wyposażenie naukowe, i masę sal i pracowni. Można tam było przychodzić i słuchać wykładów albo samemu wykładać, zależy, co dawało lepsze rezultaty, i prowadzić badania w pojedynkę albo w zespołach, jak kto chciał. Wieczorem wszyscy spotykali się, jeśli mieli na to ochotę, w wielkim holu, gdzie było kilka kominków, i dyskutowali o genetyce, o historii, o badaniach snu i o polimerach, i o tym, jak stary jest wszechświat. Jeżeli komuś nie odpowiadała dyskusja przy jednym kominku, mógł się przesiąść do innego. Noce są zawsze chłodne na Thornie. Na zboczu góry nigdy nie ma mgły, tylko zawsze wieje wiatr.

Ale pozostawiłem Thorn daleko za sobą. Nigdy tam nie powrócę. Stara ścieżka zarosła. Wreszcie zdobyłem się na trzeźwe spojrzenie na siebie. Trzeba skończyć szkołę, a potem pierwszy rok na Uniwersytecie Stanowym, a potem następny rok i następny, i tak dalej. Mógłbym to tak pchać. W gruncie rzeczy byłem o wiele mocniejszy, niż sobie wyobrażałem.

Aż za mocny. Człowiek ze stali. Wyciągnięty właściwie bez obrażeń z kompletnie rozbitego samochodu. Nie widziałem żadnej konkretnej przyczyny, dal której miałbym tak dalej żyć i skończyć szkołę, i zdać na uniwersytet, i dostać pracę, i żyć pięćdziesiąt lat, ale wszystko przemawiało za tym, że tak się właśnie stanie. Człowiek ze stali robi to, do czego został zaprogramowany.

Nie przedstawiam tego właściwie, tak jak naprawdę było. Pominąłem jedno - bo nie wiem, jak to wyrazić, i nie chcę nawet o tym myśleć - że to było straszne. Przez cały ten czas, tygodniami, co rano, kiedy się budziłem, co wieczór, kiedy się kładłem, chciało mi się płakać, bo nie mogłem tego znieść. Tylko że mogłem to znieść, a nie mogłem płakać. Nie miałem nad czym płakać.

I nie było nic do zrobienia. Próbowałem dwukrotnie. Raz z Natalie. Raz z samochodem. Obie próby nie wyszły. Nie było sposobu, żeby cokolwiek zmienić. Więcej nie będę się starał. Skoro nie potrafię pozyskać przyjaciela, w porządku, obejdzie się. Skoro nie potrafiłem machinalnie zjechać z urwiska i zabić się, w porządku, będę żył. Pierwsza próba była dokładnie tak samo głupia jak druga.

Wiedziałem, że mama martwi się o mnie, ale nie wzruszało mnie to specjalnie. Pragnęła, żebym był: 1) żywy, 2) normalny. Żywy byłem i robiłem niemalże wszystko, czego po mnie oczekiwała. Jeśli to nie wystarczało za normalność, to w każdym razie powinno wystarczyć jej za pozory na najbliższe pięćdziesiąt lat. Chciał jeszcze żebym był 3) szczęśliwy, ale tego królika nie mogłem dla niej wyczarować z kapelusza. Nie wyczyniałem żadnych wariactw, nie burmuszyłem się, nie kłóciłem, nie narkotyzowałem się, nie odmawiałem jedzenia wszelkich jej wypieków ani nie zapisałem się do Amerykańskiej Partii Komunistycznej - nic podobnego. Po prostu dużo przebywałem w swoim pokoju, stroniłem od ludzi, ale przedtem też mi się to często zdarzało. Uznała więc, że nie muszę być zbyt nieszczęśliwy, po prostu naszedł mnie taki nastrój. Wiem, że wiedział, że miało to coś wspólnego z Natalie Field. Jak już wspominałem, moja matka jest osobą wysoce inteligentną. Ale wszystko to można było zakwalifikować jako szczenięcą miłość, trudności wieku dojrzewania - normalka.

Mój ojciec, który właściwie nie wiedział, czego dla mnie chce, martwił się mną bardziej niż matka, chociaż nie jestem pewien, czy sobie z tego zdawał sprawę. Wyczuwałem to z tonu, jakim się do mnie zwracał. Tak jakoś sztywno i niepewnie. Nie wiedział, co mi powiedzieć. A jak nie wiedziałem, co mam powiedzieć jemu. I żaden z nas nie mógł nic na to poradzić. Ale co to w końcu miało za znaczenie?

Miałem wtedy manię siedzenia pod prysznicem. Można znaleźć doskonałą samotność

pod tuszem w szumie lejącej się wody, w kłębach pary. Poza tym często chodziłem do kina z Mike'iem i Jasonem. Czasem pożyczyłem w tym celu samochód od ojca. Obaj doszliśmy do wniosku, że powinienem znowu jak najszybciej zacząć jeździć, żeby przezwyciężyć uraz. Nie było to łatwe - ani dla niego, ani dla mnie - przez pierwsze dni, ale w sumie zdało egzamin (może taka jest funkcja amnezji pourazowej) i stanowiło dla niego promy nadziei. Może Owen nie jest kompletni stracony, w końcu wiele nastolatków rozbija samochody. Jest ot niemalże przejaw męskich cnót.

Do jednego tylko nie mogłem się zmusić - do nauki. Nie miało to po prostu sensu. Przedtem, kiedy przedmiot mnie nudził, zawsze udawało mi się wybrnąć za pomocą lania wody i wykołować nauczycieli, ale teraz nudziła mnie nawet matma, a przy matmie lanie wody nic nie daje. Po prostu przestałem przerabiać materiał. Zawaliłem testy dla grupy zaawansowanych. Grupy zaawansowanych są nieliczne i nauczyciel od razu to zauważył. Chciał ze mną pomówić na ten temat, ale jak odpowiedziałem tylko: „Taak” i coś burknąłem. Nauczyciel jest praktycznie w takiej sytuacji bezsilny. Nauczyciele innych przedmiotów byli tak przyzwyczajeni, że jestem dobry, iż nie zauważyli, że przestałem być dobry, i o ile tylko przychodziłem na lekcje, uznawali, że wszystko jest w porządku, więc na niczym specjalnie się nie obciążałem. A powinienem, bo szkoła doprowadzała mnie do szału - i to nie tyle lekcje, co przerwy z tłumem ludzi, którzy gadają ze sobą i spoglądają znacząco kiedy się ich mijają, i tak dalej. Ale cóż mogłem zrobić? W domu była matka, a nie mogłem cały dzień chodzić po mieście.

Tak przeszedł marzec i większa część kwietnia. Ciągle mgła. Mgła i kino.

Pewnego popołudnia wracałem piechotą do domu jedną z moich wariantowych tras, która wiodła koło kościoła kongregacjonistów. Afisz na murze zapowiadał, że w piątek wieczorem odbędzie się w kościele wiosenny występ Orkiestry Miejskiej - Leila Bone sopran, utwory Roberta Schumanna, Feliksa Mendelssohna, Antonia Vivaldiego i Natalie Field.

Jakie to piękne nazwisko: Field. Widzę niebo, a pod nim wygiętą linię pola na wzgórzu o barwie lata. Albo długie bruzdy na polu zimą, rzucające cienie w ukośnych promieniach słońca.

Bardzo bolało. Bolało niewiarygodnie mocno, a ponadto nie było to czysty ból, ponieważ w połowie składał się z zazdrości, najpodlejszego gatunku zazdrości.

Ale nawet w tym całym moim upadku - a upadłem zadziwiająco nisko - były rzeczy, których nie mogłem zrobić. Między innymi nie mogłem się zdobyć na to, aby nie pójść na

pierwsze publiczne wykonanie utworów Natalie Field.

Więc zanim minąłem kościół, wiedziałem, że muszę iść. Jednak myśl, żeby tam pójść, i to oczywiście samemu, również była bolesna. Bo zdawało się, że to koniec czegoś. Ostatnia rzecz do zrobienia z tych, które miały jakikolwiek sens, i ostatnia pozostałość z czasów, kiedy rzeczy w ogóle miały sens. Później nie będzie już nic do zrobienia. Nigdy.

Po powrocie do domu zastałem list. List był z rektoratu MIT. Matka zostawiła mi go na komodzie. Wziąłem list do swojego pokoju i przeczytałem. Zawiadamiano mnie, że zostałem przyjęty i przyznano mi pełne stypendium. Powinienem być chociaż odrobinę dumny albo, jak to się mówi, odczuwać satysfakcję, ale nic z tych rzeczy. Było mi wszystko jedno. Stypendium nie wystarczyłoby na pokrycie kosztów podróży do Massachusetts, utrzymania i innych wydatków. W ogóle te studia nie wchodziły w grę.

W ciągu dziesięciu dni miałem dać odpowiedź. Tymczasem ja wsadziłem list do szuflady biurka i zapomniałem o nim. Chcę przez to powiedzieć, że rzeczywiście o nim zapomniałem. Po prostu naprawdę nic on dla mnie nie znaczył.

Jason chciał, żebyśmy poszli na imprezę, ale powiedziałem mu, że wybieram się gdzieś z rodzicami, a im powiedziałem, że idę z Jasonem na imprezę. Często zdarzało mi się tak łągać. Takie błahe kłamstewka, nie szkodzące nikomu i bez znaczenia. Po prostu w pewnych okolicznościach łatwiej było kłamać, niż mówić prawdę. Gdybym powiedział Jasonowi, że nie chcę mi się z nim iść, zacząłby mnie namawiać. Gdybym powiedział jemu albo rodzicom, że wybieram się na koncert do kościoła, uznaliby to za dziwaczny pomysł, a miałem po dziurki w nosie roli osobnika, który zawsze ma dziwne pomysły. Mogli zresztą zauważyć afisz z nazwiskiem Natalie, a to nie ich sprawa. Ponadto Jason pewnie by ze mną poszedł, bo tak mu się nudziło, że gotów był robić wszystko, byle w towarzystwie. Więc o wiele prościej było zełgać. Jeżeli kłamie się w wystarczająco wielu sprawach, wtedy ludzie również pograżają się we mgle i nie mogą już człowieka ani dojrzeć, ani dotknąć.

Czułem się bardzo dziwnie idąc tam w piątek wieczorem. Był koniec kwietnia i jeden z pierwszych ciepłych wieczorów, ciepły i wietrzny, pełno kwiatów rozkwitło w ogródkach chmury przepływały wśród gwiazd. W drodze do kościoła kręciło mi się w głowie. Znać to uczucie, kiedy człowiekowi zdaje się, że kiedyś już w tym miejscu był. No więc ze mną było akurat na odwrót. Tak, jakbym dotąd nigdy nie widział tych ulic, chociaż przechodziłem nimi dwa razy dziennie pięć razy w tygodniu. Wszystko wyglądało inaczej. Czułem się jak ktoś obcy po raz pierwszy późnym wieczorem w obcym mieście. Strach mnie oblatywał, ale równocześnie robiło mi się jakoś przyjemnie. Wyobrażałem sobie, co by było, gdyby nikt z ludzi w domach, które mijalem, i w samochodach, które mnie mijaly, nie mówił po angielsku,

co by było, gdyby to naprawdę było cudzoziemskie miasto, którego nigdy dotąd nie widziałem, a tylko ubzdurałem sobie, że mieszkam w nim całe życie, bo dostałem pomieszania zmysłów.

Patrzyłem na przedmioty, na drzewa, na domy oczyma turysty i naprawdę wyglądało na to, że nigdy przedtem ich nie widziałem. Cały czas miałem wiatr w twarz.

Kiedy wraz z innymi wchodziłem do kościoła, ogarnął mnie niepokój i rozdrażnienie. Właściwie nie wszedłem, tylko się wślizgnąłem. Gdybym mógł, pewnie wpełzłbym na czworakach, byle tylko jak najmniej rzucać się w oczy. Kościół był wielki, stary, głównie z drzewa, mroczny i wysoki. Nigdy przedtem tu nie byłem, więc bez trudu zachowałem wrażenie, że jestem kimś obcym, cudzoziemcem. Zgromadziło się już sporo osób i ciągle napływali następni, ale nikogo spośród nich nie znałem. Nie wiedziałem, gdzie będzie siedziała Natlie, prawdopodobnie na przodzie, więc zająłem miejsce na samym końcu, w ostatnim rzędzie, dokładnie naprzeciwko drzwi, którymi wchodziłi ludzie, za filarem, to znaczy w najbardziej zakonspirowanym kącie, jaki mogłem znaleźć. Nie chciałem widzieć ani być widzianym. Chciałem być sam. W zasięgu wzroku miałem tylko dwie dziewczyny, które z widzenie nawet znałem, zdaje się koleżanki Natalie ze szkoły.

Kościół wypełnił się całkowicie, ale ponieważ to był kościół, więc nikt nit mówił głośno i brzmienie rozmów przypominało szum wody na plaży, tylko potężny, łagodny szum - ani angielszczyzna, ani żaden określony język. Siedziałem na swoim miejscu i czytałem program odbity na powielaczu, i kręciło mi się w głowie, i czułem się niesamowicie - oderwany od wszystkiego, kompletnie oderwany.

Pieśni stanowiły przedostatnią pozycję programu. Orkiestra była, zdaje się, niezła, nie słuchałem uważnie, szybowałem; mimo to muzyka sprawiła mi pewną przyjemność, bo pozwalała mi szybować. Potem była przerwa, ale nie ruszyłem się z miejsca, i w końcu pojawiła się śpiewaczka przed samym ołtarzem. Akompaniował jej kwartet smyczkowy, a Natalie grała partię altówki. Tego się nie spodziewałem. Zobaczyłem ją siedzącą obok potężnego wiolonczelisty w średnim wieku; zasłaniał ją prawi zupełnie, mogłem jedynie dojrzeć jej włosy, czarne i lśniące w świetle lamp. Potem znowu pochyliłem głowę. Dyrygentowi zebrało się na gadanie i zaczął głądzić o Muzyce w Naszym Mieści i o tej oto obiecującej osiemnastoletniej wykonawczynie i kompozytorce, zamknął się wreszcie i rozległa się muzyka.

Śpiewaczka była dobra. To ona, zdaje się, co niedziela śpiewała w czasie mszy, ale miała silny głos i rozumiała słowa i muzykę. Pierwsza pieśń miała tytuł „Miłość i przyjaźń”, prosty wiersz mówiący, że miłość jest dziką różą, a przyjaźń jest gałązką ostrokrzewu.

Melodia była ładna i czuło się, że publiczności się podoba. Po skończeniu klaskano bardzo głośno. Natalie siedziała na miejscu zachmurzona i nie podnosiła głowy. Nie powinno się klaskać przed zakończeniem wszystkich trzech pieśni. Śpiewaczka była nieco zakłopotana, zrobiła półukłon i wreszcie słuchacze połapali i ucichli. Zaśpiewała drugą pieśń. Słowa napisała Emily Brontë, kiedy miała dwadzieścia dwa lata:

Bogactwa lekce sobie ważę,

Z miłości drwię boleśnie,

Sława mi była czym mirażem, co rozwiął się dość wcześnie.

Jedna modlitwa w twardej doli wprawia me usta w drżenie -

„Zostaw mi serce, choć tak boli,

I daj mi wyzwolenie”.

Gdy zegar każą swą minutą

Rychły mi kres oddzwania -

*Tylko chcę duszę mieć rozkuta z kajdan i moc wytrwania!**

Niczym drżący głos piszczałki rozległy się miękko dźwięki skrzypiec i wiolonczeli, dwie melodie, prowadzone jedna przez śpiewaczkę, a druga przez altówkę, to nakładały się, to rozbiegały w różne strony. Mocna, poważna, poruszająca melodia. I nagle przy ostatnich czterech słowach rozłamała się - i zamarła.

Oklasków nie było. Może nie zorientowano się, że już koniec, może się nie podobało, może wzbudziło lęk. W kościele panowała zupełna cisza. I wówczas zaczęli trzecią pieśń „Łagodna mgła na wzgórzu” - bardzo cicho. Zacząłem płakać i nie mogłem przestać, kiedy utwór się skończył i wszyscy bili brawo, i Natalie musiała wstać, i kłaniać się. Wygramoliłem się z ławki, prawie po omacku, bo nic nie widziałem przez łzy, i wyszedłem z kościoła w noc.

Skierowałem się w stronę parku. Latarnie uliczne były wielkimi kroplami światła w tęczyowych obwódkach i czułem chłód wiatru na mokrej twarzy. W głowie, gorącej i lekkiej, dźwięczał mi głos śpiewaczki. Nie czułem chodnika pod stopami i w ogóle nie zauważałem mijanych po drodze ludzi. I nic mnie nie obchodziło, że mogą mnie zobaczyć płaczącego na ulicy.

Było w tym jakieś uniesienie. Zbyt wiele naraz się stało, żebym mógł to ogarnąć, ale było w tym uniesienie. I po części była to miłość. Mam na myśli prawdziwą miłość.

W tej pieśni ujrzałem całą Natalie, taką, jaka naprawdę była. I kochałem ją. Nie było to ani wzruszenie, ani pożądanie, to był sakrament, i to było uniesienie, jakbym patrzył w gwiazdy. Wiedzieć, że ona mogła to zrobić, że mogła stworzyć pieśń, która zmuszała ludzi do

słuchania w milczeniu, a mnie zmusiła do płaczu, wiedzieć, że taka była Natalie, naprawdę ona, ona sama - prawda.

Ale towarzyszył temu taki ból, że nie mogłem sobie dać rady.

Przeszedłem kilka ulic i lży mi obeschły. Szedłem dalej, ale kiedy dotarłem do parku, byłem tak zmęczony, że zawróciłem i skierowałem się w stronę domu. Miałem przed sobą jakieś piętnaście przecznic, ale w czasie tej drogi nie myślałem ani nie czułem niczego, co można by zapamiętać. Po prostu szedłem sobie wśród nocy i mogłem to robić zawsze. Tylko wrażenie obcości znikło. Wszystko było znajome, cały świat, nawet gwiazdy, wszędzie byłem w domu. Co pewien czas z jakiegoś mrocznego ogrodu dolatywał zapach świeżej ziemi, kwiatów. To pamiętam.

Skręciłem w naszą ulicę. W momencie kiedy zbliżałem się do domu Fieldów, ich samochód zahamował przed wejściem i wysiedli z niego państwo Field i Natalie, i jeszcze jakaś młoda kobieta. Rozmawiali. Stałem jak wryty i tak stałem. Znajdowałem się między dwiema latarniami i nie rozumiem, jak Natalie zdołała mnie dojrzeć w ciemności.

Jednak podeszła prosto do mnie. Stałem bez ruchu.

- Owen?

Powiedziałem:

- Cześć!

- Widziałam cię na koncercie.

- Aha. Słyszałem cię - przytaknąłem i wyrwało mi się coś na kształt śmiechu.

Trzymała w ręku futerał z altówką. Była w długiej sukni, jej włosy wciąż wydawały się bardzo czarne i gładkie, a twarz promieniała. Granie własnej muzyki, a potem przypuszczalnie przyjęcie w gronie osób, które pragnęły jej pogratulować, sprawiło, że była skoncentrowana, napięta, jej oczy wydawały się ogromne.

- Wyszedłeś po moich pieśniach.

- Mhm. To wtedy mnie zobaczyłaś?

- Widziałam cię wcześniej. Siedziałeś z tyłu. Szukałam cię.

- Myślałaś, że będę?

- Miałam nadzieję. Chociaż nie. Myślałam, że będziesz.

Ojciec zawołał ją ze schodów wejściowych.

- Natalie!

- Dumny jest z ciebie? - zapytałem.

Kiwnęła głową.

- Muszę iść - powiedziała. - Moja siostra przyjechała na koncert. Chciałbyś wejść?

- Nie mogę.

Powiedziałam to w tym sensie, że to ja nie mogę, a nie, że ktoś mi to uniemożliwia.

- Przyjdiesz jutro wieczorem? - zapytała nieoczekiwanie napastliwym tonem.

- Dobra - powiedziałem.

- Chcę się z tobą zobaczyć - rzuciła w ten sam sposób. Potem odwróciła się na pięcie i weszła o domu, a ja minąłem go i wróciłem do siebie.

Ojciec oglądał telewizję, a mama siedziała koło niego i robiła na drutach.

- Krótka impreza? - zapytała, gdy wszedłem, więc powiedziałem, że tak. - Podobało ci się? Na czym byłeś? - A ja odpowiedziałem:

- Och, nie pamiętam - i poszedłem na górę, bo znów prosto z nocnego wiatru trafiłem w mgłę. Ale nie umiem rozmawiać we mgle. Nie umiałem powiedzieć ani słowa prawdy.

To nie była wina moich rodziców. Jeśli moja opowieść zaczyna wyglądać na jeszcze jedno dzieło o tym, że cała wina jest po stronie starszego pokolenia, a nawiasem mówiąc nawet niektórzy psychologowie piszą rozprawy w tym duchu, to znaczy, że nie wyraziłem tego, co chciałem wyrazić. To nie była ich wina. No więc dobrze, oni faktycznie w pewnym stopniu cały czas żyli we mgle i zgadzali się na wiele kłamstw nie usiłując dojść prawdy - no i co z tego? Kto tego nie robi? To nie znaczy, że to się im bardziej podobało niż mnie. To nie znaczy, że byli silni. To znaczy dokładnie coś przeciwnego.

Nazajutrz wieczorem poszedłem do Natalie. Wszystko było jak za pierwszym razem: pani Field wpuściła mnie do środka, a Natalie akurat ćwiczyła. Czekałem w ciemnym holu i muzyka urwała się nagle, i ona zeszła na dół. Powiedziała:

- Chodźmy się przejść.

- Trochę pada.

- Nie szkodzi - odparła - chciałabym się przejść.

Wzięła płaszcz i poszliśmy ulicą prowadzącą do parku.

Ciągle miała ten napięty, nieobecny wyraz twarzy. Upłynęła dobra chwila, zanim zeszła na ziemię.

- Co u ciebie? - zapytała, kiedy oddaliliśmy się od domu.

- Nic specjalnego.

- Dostałeś odpowiedź z jakiejś uczelni?

- Aha. Z jednej.

- Z której?

- MIT.

- I co napisali?

- Nic. Przyjęli mnie.
- Forsy nie dają?
- Owszem. Przyznali stypendium.
- Pełne stypendium?
- Aha.
- Słuchaj! To fantastycznie! No i co postanowiłeś?
- Nic.
- Czekasz na odpowiedź z innych miejsc?
- Nie.
- Wiesz o co ci chodzi?
- No, chyba będę zdawać na Stanowy.
- Na Stanowy? Po co?
- Żeby skończyć studia.
- Ale dlaczego tam? Przecież chciałeś pracować z tym facetem z MIT.
- Byle smarkacz nie może pójść i „pracować” z laureatami Nagrody Nobla.
- Nie zawsze będziesz smarkaczem, prawda?
- Mniejsza o to. W każdym razie zdecydowałem, że nie.
- Zdawało mi się, że powiedziałeś, że nic nie zdecydowałeś.
- Tu nie ma o czym decydować.

Wsunęła ręce do kieszeni płaszcza, wciągnęła głowę w ramiona i szła niedbale szurając nogami. Była, zdaje się, wściekła. Ale gdy przeszliśmy jeszcze kilkaset metrów, odezwała się:

- Owen.
- Co?
- Ja naprawdę nie wiem co robić.
- Z czym?

Nie pojmuję jak ona mogła mówić dalej - odpowiadałem jej tak chłodno, obojętnie, niezachęcająco. A jednak mówiła dalej.

- Chodzi o Jade Beach i całą tę sprawę.
- Och, daj spokój. Wszystko jest OK.

Nie chciałem o tym mówić. Wynurzało się to z mgły stanowczo zbyt wielkie, masywne i twarde. Chciałem się odwrócić i nie patrzeć na to.

- Dużo o tym myślałam - zaczęła. - Widzisz, wydawało mi się, że mam wszystko zaplanowane. Przynajmniej na teraz. I na następne parę lat. Założyłam sobie, że nie będę się z

nikim wiązać na stałe. Żadnego zakochiwania się, żadnych romansów, żadnego małżeństwa ani nic w tym rodzaju. Jestem bardzo młoda i mam tyle rzeczy do zrobienia. Brzmi to głupio, ale tak jest naprawdę. Gdybym mogła lekko traktować spawy seksu, tak jak wiele ludzi, wszystko by grało, ale zdaje mi się, że nie potrafię. Nie potrafię niczego traktować lekko. No i widzisz, to było takie wspaniałe, że zostaliśmy przyjaciółmi. Jest rodzaj miłości, który polega na przyjaźni. I ja naprawdę myślałam, że z nami tak jest. Myślałam, że nam się naprawdę udało, i nie mają racji ci, którzy twierdzą, że nie może być przyjaźni między mężczyzną i kobietą. Ale zdaje się, że mają rację. Byłam... zbyt teoretyczna.

- Nie wiem - powiedziałem. Nie zamierzałem dodać nic więcej, ale jakoś samo mi się wyrwało. - Uważam, że w sumie miałaś rację. Pchałem się z tym całym seksem nie w porę.

- Właśnie że w porę - odparła znanym mi zgnębionym, markotnym tonem. I nagle dorzuciła z pasją: - W końcu nie można powiedzieć seksowi, żeby sobie poszedł i wrócił za dwa lata, bo akurat jestem zajęta.

Doszliśmy do następnej przecznicy. Deszcz był drobniutki jak mgielka na twarzy, prawie się go nie czuło, ale zaczęło mi już ciec za kołnierz, po szyi.

Chodziłam już raz z chłopakiem - powiedziała. - Miałam szesnaście lata, a on osiemnaście; był oboistą, wszyscy oboiści są stuknięci. Miał samochód i zatrzymywał go w malowniczych miejscach i, masz pojęcie, dosłownie rzucał się na mnie. I mówił: „To jest silniejsze od nas obojga, Natalie!” Wkurzyło mnie to w końcu i powiedziałam: „Może to jest silniejsze od ciebie, ale nie jest silniejsze ode mnie”. I to chyba przesądziło sprawę. Tak czy siak, był narwany. Ja zresztą też. Ale swoją drogą... teraz wiem, o co mu chodziło. - Po chwili mówiła dalej. - Ale mimo wszystko...

- Co.

- To jakoś nie pasuje, prawda?

- Co?

- No do nas. Po prostu nie gra. Prawda?

- Nie - powiedziałem.

Doprowadziłem ją tym do wściekłości. Przystanęła i spojrzała na mnie groźnie.

- Mówisz tak, mówisz nie, mówisz, że nie ma o czym decydować. Właśnie że jest. I czy ja zdecydowałam dobrze, czy nie. Nie wiem. Dlaczego ja mam podejmować decyzję? Skoro jesteśmy przyjaciółmi, a cała rzecz w tym, czy możemy być przyjaciółmi, to podejmujemy decyzję wspólnie. Tak?

- OK. Więc podjęliśmy.

- W takim razie dlaczego jesteś na mnie wściekły?

Staliśmy w mroku pod wielkim kasztanem; jego gałęzie prawie zupełnie osłaniały nas od deszczu. Jakiś kwiaty płonęły jak świece w świetle wiszącej nad nami latarni. Płaszcz Natalie i jej włosy rozpląwały się w ciemności, jedyne, co mogłem dostrzec, to zarys jej twarzy i oczy.

- Nie jestem - powiedziałem. Było tak, jakby ziemia chwiała się pode mną, świat zmieniał formy, trzęsienie ziemi; brak jakiegokolwiek oparcia. - Jestem kompletnie skołowany. Kompletnie. Nie mogę w niczym odnaleźć sensu. Nie daję rady.

- Ale dlaczego, Owen? Co się stało?

- Nie wiem. - Położyłem ręce na jej ramionach, a ona przysunęła się bliżej i mnie objęła.

- Boję się - powiedziałem.

- Czego? - powiedziała w moją kurtkę.

- Życia.

Obejmowała mnie, a ja obejmowałem ją.

- Nie wiem, co robić - mówiłem. - Wyobrażasz sobie, mam przeżyć prawdopodobnie kupę lat, a nie wiem jak.

- Chciałeś powiedzieć, że nie wiesz, po co?

- Chyba tak.

- Ależ po to. - Przytrzymała mnie. - Po to. Dla siebie, dla tego, co masz do zrobienia, dlatego, żeby myśleć, dlatego, żeby słuchać muzyki. Ty wiesz, jak żyć, Owen. Tylko słuchasz ludzi, którzy nie wiedzą!

- Możliwe. - Trząśłem się. Powiedziała:

- Zimno jest. Chodźmy do domu, zrobimy sobie paskudnej herbaty. Mam jakąś chińską, która podobno bardzo uspokaja i sprzyja długowieczności.

- Właśnie długowieczność jest tym, czego mi w tej chwili najbardziej potrzeba.

Ruszyliśmy w stronę domu. Nie mówiliśmy wiele w drodze powrotnej ani kiedy sterczeliliśmy w kuchni, czekając, aż się woda zagotuje. Zabraliśmy imbryk i filiżanki na górę do pokoju Natalie i usiedliśmy na orientalnym dywaniku. Chińska herbata była niezaprzeczalnie paskudztwem. Wykrzywiła usta. Ale kiedy człowiek się przyzwyczaił, robiła się nawet na swój sposób smaczna. Ciągle jeszcze czułem się roztrzęsiony, ale do tego stanu też się można przyzwyczaić.

- Czy ty w ogóle skończyłaś kwintet Thornu? - zapytałem.

Na dobrą sprawę nie widzieliśmy się przez osiem tygodni, ale wydawało mi się, że minęło osiem lat i że znaleźliśmy się teraz w zupełnie nowym miejscu.

- Jeszcze nie. Powolna fraza jest gotowa i mam pomysł na finał.

- Słuchaj, Nat. Te twoje pieśni, wiesz, wczoraj wieczorem... ja się popłakałem... to ta druga.

- Wiem. Dlatego musiałam z tobą pogadać. No bo wiem, że byśmy mogli... No bo...

- Bo ty właśnie przez to się wypowiadasz. Reszta to tylko słowa.

Spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała:

- Owen, jesteś najfajniejszym człowiekiem, jakiego znam. Nikt poza tobą tego nie rozumie. Nawet wśród muzyków nie znam nikogo, kto by to rozumiał. Ja właściwie nie umiem nic powiedzieć. Poza muzyką jestem nikim. Może z czasem. Może kiedy już będę dobra w muzyce, kiedy to opanuję, może wtedy zacznę sobie dawać radę i w innych sprawach. Może nawet stanę się istotą ludzką. A ty już jesteś.

- Jestem małpą - odrzekłem - która usiłuje udawać człowieka.

- Dobrze ci wychodzi - powiedziała - najlepiej ze wszystkich znanych mi ludzi.

Położyłem się na brzuchu na dywaniku i zajrzałem do filiżanki z herbatą. Miła kolor ciemnożółtobrazowy, a na powierzchni unosiły się drobiny chińskiego osadu.

- Jeśli toto rzeczywiście uspokaja - powiedziałem - to ciekawe, czy działa na centralny system nerwowy, czy na mózg, na mózdzek czy na co?

- Smakuje jak metalowa wata do czyszczenia garnków; ciekawe, czy takie coś też uspokaja?

- Nie wiem. Nigdy nie jadłam.

- Na śniadanie, z mlekiem i cukrem.

- Pięć tysięcy procent minimalnego dziennego zapotrzebowanie dorosłego człowieka na żelazo.

Roześmiała się i wytarła oczy.

- Chciałabym umieć mówić - powiedziała. - Chciałabym być taka jak ty.

- A co ja takiego powiedziałem?

- Nie potrafię ci tego powiedzieć, bo ja nie umiem mówić. Ale mogę ci to zagrać.

- Chciałabym posłuchać.

Podniosła się i podeszła do fortepianu, zagrała coś, czego nigdy przedtem nie słyszałem.

Kiedy skończyła, spytałem:

- Czy to Thorn?

Skinęła głową.

- Wiesz, gdybym tylko mógł tam żyć - powiedziałem - wszystko byłoby kaszką z

mlekiem.

- Kiedy ty tam właśnie żyjesz. Żyjesz właśnie tam.

- Sam?

- Może.

- Nie chcę być sam. Jestem zmęczony sobą.

- No więc możesz tam zapraszać gości. W małych łódeczkach.

- Nie chcę już odgrywać roli króla w zamku. Chcę żyć z innymi ludźmi, Nat. Kiedyś myślałem, że można się obejść bez ludzi, ale nie można. Nie można samemu ciągnąć tego wszystkiego.

- I dlatego chcesz zdawać na Stanowy?

- Chyba tak.

- Ale zimą twierdziłeś, że masz dlatego problemy ze szkołą, że tam wszyscy nastawieni są na równanie w dół, żeby nikt nie mógł zostać kimś. Czy Stanowy to nie będzie taka sama szkółka, tyle że większa?

- Cały świat jest taką szkołą, tyle że większą.

- Nieprawda! - Na jej twarzy malowała się zaciętość. Bardzo cicho wygrała kilka brzydkich akordów na fortepianie. - W szkole jeszcze nie możesz decydować o niczym. Cała reszta świata to teren, gdzie musisz decydować. Przecież nie chcesz chyba zdecydować, że nigdy nie będziesz o niczym decydować, że będziesz przeciętnikiem, prawda?

- Kiedy widzisz, mam już tak dosyć tego przeciwstawiania się innym, bycia innym. To do niczego nie prowadzi. Jeżeli będę postępował tak jak inni...

Przeleciała po klawiaturze - Brzdęk!

- Inni postępują tak jak wszyscy inni, więc dają sobie radę i nie są samotni - powiedziałem. - Człowiek jest istotą społeczną. Dlaczego ja, u diabła, nie mogę być?

- Bo ci to zupełnie nie wychodzi - odparła.

- Więc co mam robić? Wrócić na Thorn i być przez resztę życia stukniętym pustelnikiem i pisać głupoty, których nikt nie będzie czytać?

- Nie. Masz chodzić na MIT i pokazać im, jaki jesteś dobry.

- To za dużo kosztuje.

Brzdddękkk!

- Dają mu trzy tysiące dolarów, a on jeszcze biadoli!

- Żeby się tam utrzymać przez pierwsze cztery lata, trzeba mieć szesnaście albo dwadzieścia tysięcy.

- Pożycz. Ukradnij. Sprzedaż ten głupi samochód.

- Już go rozwalilem - powiedziałem i zacząłem się śmiać.

- Rozwaliłeś samochód? W wypadku?

- Dokumentalnie - i zacząłem się śmiać jak wariat. Udzieliło jej się. Nie mam pojęcia, dlaczego się śmieliśmy. Cała ta sprawa. Wszystko było niedawno takie bez sensu, aż tu nagle uchwyciłem sens i zdałem sobie z tego sprawę.

- Ojciec dostał niemal całą równowartość z zakładu ubezpieczeń - powiedziałem. - Gotówką.

- No więc?

- Co no więc?

- Masz na pierwszy rok. O następny będziesz się martwił w następnym.

- Goryle co noc budują nowe legowiska - powiedziałem. - Nocują w nich wysoko na drzewach. Klecą je byle jak, niechlujnie. Co noc muszą zakładać nowe, bo przenoszą się z miejsca na miejsce, a ponadto zaśmiecają je skórkami od bananów i innymi odpadkami. Być może cechą charakterystyczną naczelnych jest właśnie owo przenoszenie się z miejsca na miejsce i zakładanie gniazd, coraz to innych, aż nauczą się robić je dobrze. Albo przynajmniej wyrzucać skórki od bananów.

Natalie wciąż siedziała przy fortepianie i grała przez jakieś sześć sekund kawałek z Chopina - Etiudę Rewolucyjną, którą ćwiczyła wtedy w grudniu. Powiedziała:

- Szkoda, że nie rozumiem.

Wstałem z podłogi i usiadłem koło niej na ławeczce przy fortepianie i obiema rękami wybrzdąkałem niewiadomoco.

- Widzisz, a ja nie rozumiem, jak się gra na fortepianie. Ale kiedy ty grasz, słyszę muzykę.

Popatrzyła na mnie i ja popatrzyłem na nią i pocałowaliśmy się w usta. Ale skromnie: sześć sekund maksimum.

To oczywiście nie wszystko. Ale jeśli chodzi o sprawę, którą chciałem opowiedzieć, to chyba wszystko. Reszta to to, co działo się potem i co w dalszym ciągu się dzieje - codziennie nowe legowisko goryla.

Następnego dnia wyciągnąłem z szuflady biurka papiery, pokazałem rodzicom i oświadczyłem, że łącznie z pieniędzmi uzyskanymi z odszkodowania starczy mi na rozpoczęcie studiów na MIT. Mama strasznie się zdenerwowała, była naprawdę zła jakbym wyciął jej głupi kawał. Nie wiem, jakbym sobie poradził, gdyby nie ojciec. Zawsze zapomina

się o jednym - człowiek myśli, że wie, czego ma się spodziewać, a to nieprawda; to, czego się spodziewa, nie zdarza się, za to zdarza się to, czego się nie spodziewa. Ojciec powiedział, że o ile będę pracował w czasie wakacji i o ile będę miał co rok stypendium, on pokryje resztę. Matka poczuła się zdradzona i odmówiła dobrowolnego współdziałania. Jednak musiała współdziałać niedobrowolnie, bo mimo że to ona prowadzi cały nasz dom, to zawsze podkreśla, że od podejmowania decyzji jest mężczyzna. I w myśl tej zasady odcięła się od decydowania, chyba że decyzji nie trzeba podejmować, bo nasuwa się sama, co jej najbardziej odpowiada. Nie zostawiła sobie żadnej alternatywy poza obrażeniem się. Ciężko byłoby to znieść, gdyby ojciec nie był po mojej stronie. W tym układzie było przykro, ale do wytrzymania. Moja matka ma zbyt łagodne z natury usposobienie, żeby boczyć się całymi tygodniami. W połowie maja zaczęła zapominać, że jest obrażona. Parę tygodni później kupiła mi kilka krawatów, bardzo gustownych, w ciemne prążki, bo żywi głębokie przekonanie, że mężczyźni ze wschodnich uniwersytetów uczęszczają na wykłady w krawatach.

Zabrałem się znowu do nauki w szkole i po raz pierwszy finiszowałem ze wszystkimi celującymi. Jeśli ma się zamiar zostać jajogłowym, to można być równie dobrze jajogłowym na twardo. Przez lato będę pracował jako początkujący technik laboratoryjny w Bico Industries.

W maju i w czerwcu widywaliśmy się z Natalie kilka razy w tygodniu. Nie obyło się bez trudności, bo nie zawsze udało nam się zmieścić w maksimum sześciu sekundach. Tak jak powiedziała, żadne z nas nie potrafi niczego traktować lekko. Kilka razy zdarzyło nam się coś jakby kłótnia, bo oboje byliśmy trochę sfrustrowani, i to się odbijało to na niej, to na mnie. Ale te kłótnie nie trwały dłużej niż pięć minut, bo oboje byliśmy przekonani, że nie możemy jeszcze podejmować żadnych zobowiązań i że bez zobowiązań seks jest nie dla nas, ale że nie bylibyśmy wiele warci bez miłości. Więc najlepsze, co mogliśmy zrobić, to zostawić dalej wszystko tak, jak było. I to najlepsze było bardzo dobre.

Wyjechała do Tanglewood w ostatnim tygodniu czerwca. Jechała pociągiem. Odprowadziłem ją, co wypadło trochę niezręczne, bo odprowadzali ją również rodzice. Ale czułem, że mam do tego prawo, mimo że pan Field ciągle dawał mi do zrozumienia, że jestem równie mile widziany jak tarantula. Po prostu stałem trochę z boku na peronie. Co pewien czas pani Field cofała się i wtedy byłem częściowo włączony w scenę pożegnania i mogłem widzieć Natalie. W jednym ręku miała altówkę, w drugim skrzypce, a poza tym plecak, więc nie była specjalnie operatywna. Na stopniu wagonu pocałował matkę i ojca. Mnie nie pocałowała. Popatrzyła na mnie. Powiedziała:

- Do zobaczenia na Wschodzie we wrześniu za rok, Owen.

- Albo na Thornie o każdej porze - powiedziałem.

Kiedy pociąg ruszył, pomachała przez brudne okno ze swego miejsca. Nie udawałem tym razem małpy. Stałem i udawałem, jak tylko umiałem najlepiej, istotę ludzką.